Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

GEOGRAFIA ŁOWIECKA

PRZEZ

Dra J. Foichtingera.

Strefy łowieckie.

Rozwój geografii zwierząt, jaki się pojawił w dzisiejszych czasach w dziedzinie zoologii, należy bez zaprzeczenia do postępu najważniejszego i najdonośniejszego. Buffon wykazał pierwszy wpływ jej nie tylko na tę umiejętność, ale też na wszelkie z zoologią łączące się stosunki życia, i wszedł na tor badawczy; wielkie wyniki jednak w nowszych czasach łączą się z imionami: Swainsona, Schmardy, Darwina. Oni nas nauczyli, że ciepło słoneczne najpotężniejszy wpływ wywiera na rozdzielanie życia zwierzęcego w przestrzeniach ziemskich, że w miarę wzmagania się jego rośnie liczba zwierząt i że one najwyższej liczby u zwrotników dosięgają. Równie ważny wpływ wywiera wzniesienie nad powierzchnią morza. Im wyżej kroczymy ku grzbietom gór, tym więcej spotykamy północnych zwierzęcych okazów. Następnym warunkiem rozdzielenia i bogactwa świata zwierzęcego jest wielkość różnicy między letnią a zimową temperaturą pewnej miejscowości. Nie mniej też burze i prądy morskie pędzą często zwierzęta w nowe siedziby. Tak przynoszą passaty wyspom Kaperdyjskim pył meteoryczny, składający się z zwierząt mikroskopicznych, które swoją siedzibę mają u rzek Orinoko i Maranan. Siła lub brak światła działają stanowczo na wytwarzanie się barwy i połysku świata zwierzęcego, gdy bowiem zwierzęta krajów tropikowych odznaczają się barwną i jaśniejącą suknią, to zimowe okrycie zwierząt okolic polarnych przybiera barwę śniegu, a mieszkańcy podziemni mają wcale mdłą suknię. Tak więc odbija się w świecie zwierzęcym klimat miejscowości, można przeto z właściwości zwierzęcej dwóch miejsc wnosić o podobieństwie ich klimatycznych stosunków. Jednym z najkonieczniejszych środków szerzenia życia zwierzęcego jest następnie woda. Brak zwierząt w puszczy daje się usprawiedliwić niedostatkiem wody, a gdzie pojawia się roślinność, wodę w sobie zawierająca, tam ona może ją zastąpić. Tak utrzymują się w Llanach zwierzęta w porze suchej z powodu kaktusów w wielkiej ilości tam rosnących i zależność zwierząt od roślinności, a zatem wyższego świata zwierzęcego od niższego jest w ogólności stanowczą. Różnorodność form zwierzęcych wznosi się i upada wraz z różnorodnością form roślinności.

Każdy rodzaj posiada dalej średnicę poczęcia, z której się rozpromienia, i w tej średnicy mieści największą liczbę okazów i najwyższą doskonałość. Granice każdego rodzaju są nie tylko polarne i równikowe, ale także wyższe i niższe,

t. j. musimy nie tylko zapytać, jak daleko sięga pewien rodzaj zwierzęcy ku biegunom i równikowi, lecz także, jak wysoko podnosi się nad powierzchnią morza? Wymienione granice wytwarzają głównie dla rodzajów zwierząt czynniki ciepła, wschodnią zaś i zachodnią granicę stanowią przeważnie góry i wody. Wzniesienie nad morzem wykazuje wobec fauny te same rezultaty, jak przyrost szerokości geograficznej, w wysokich Alpach znajdujemy formy, które są podobne lub równe formom krajów polarnych. Życie całego świata zwierzęcego jest tylko możliwe w skutek niszczących wpływów, jakim każdy rodzaj z osobna podlega. Gdyby nie było czynników powodujących zmniejszanie się liczby, to niektóre szczególnie płodne gatunki zapełniłyby lądy i morza swymi niezliczonymi miliardami, a niektóre spożywacze roślin zniszczyłyby w niewielu latach całą roślinność. Każdy rodzaj ma przeciw sobie kilka innych, których byt od niego zawisł, przeznaczonych do tępienia nadmiernej jego liczby. Możliwość istnienia wszystkich rodzajów polega na ich wzajemnej walce o byt, na wzajemnem niszczeniu się. Znajomość tych prawideł, regulujących przebieg życia zwierzęcego na powierzchni ziemi, ma dla myśliwego wielkie znaczenie. Są one nie tylko same przez się ciekawe i nauczające, ale wywierają też nie mały wpływ na racyonalną praktykę łowiecką. Myśliwy nauczy się z nich poznawać, jak ważną jest rzeczą dla niego, całą swoją czynność oprzeć na zoologicznej podstawie. Następstwem właściwości, że każdy rodzaj wiąże się z pewną miejscowością powierzchni ziemi, jest jego przemiana co do działania i formy, albo całkowite jego wymieranie, gdy z pierwotnego swego okręgu rozmnażania się jest wzięty. Tak też nie mnożą się wielbłądy, dromedary, lamy i wikuny w naszych szerokościach geograficznych; gdy inne rodzaje na rozległych przestrzeniach się rozradzają. Koń, wół, owca, świnia i pies szerzą się na ogromnych przestrzeniach ziemskich. Gdzie jeden rodzaj ma swój kres, występuje inny, zajmujący jego miejsce, przyjmujący jego właściwości i szerzący je.

W strefach, w których koń, wół i owca już się nie pojawiają, zjawia się ren i przyjmuje właściwości trzech poprzednich. Wykształcony myśliwy potrafi na podstawie szerokości geograficznej i wyniosłości nad powierzchnią morza swego terenu, orientować się w rodzajach i właściwościach świata zwierzęcego, z którym się spotyka. Również dla nauki mnożenia i hodowania zwierząt daje geografia zoologiczna cenne wskazówki. Naucza ona nas, iż wtedy tylko możemy z powodzeniem pewien rodzaj zwierzęcy przenieść z jednej miejscowości do drugiej, gdy zdołamy jego przyrodzone warunki życia mu zapewnić. Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na warunki pożywienia, więc najczęściej roślinność w wysokim stopniu przyczynia się do pomyślnego rezultatu. Nie mniej w tym względzie ważne jest przyrodzone usposobienie każdego rodzaju, o ile ono w ciągu pokoleń się rozwinęło. Im więcej jaki rodzaj bez szkody dla siebie może zmieniać warunki pożywienia, im liczniejsze rośliny mogą być dla niego żerem, im bardziej zdoła zastosować się do różnorodnej temperatury; tem większa jest możność pomyślnego przeniesienia go z jednej miejscowości do drugiej, choćby pod względem klimatycznym wielce odmiennej. Nauka szerzenia się zwierząt wiedzie także do bliższego rozpoznania owych często rażących zmian, jakie obłaskawianie i różność pożywienia w zwierzętach sprawiają i do oparcia ich na stałych fizyjologicznych podstawach. Tak według zasad przyrodniczych postępujący myśliwy, przywyknie wnet na wszelkie zjawiska w świecie zwierzęcym zwracać baczną uwagę. Wędrówki zwierząt, tryb ich zimowania i mnożenia się, zmiana ich powierzchniej sukni, odpowiednia porom roku, ich broń ochronna i obronna i sposób jej użycia, wszystko to jest wielkiej wagi i ogromnego znaczenia nie tylko dla niego, ale też dla całego myślącego świata. A jakżeż mało są te szczegóły ich życia, choćby w przybliżeniu, zbadane, a wszakże one są przeznaczone rozszerzać promienie światła na cały świat organiczny. Tylko myśliwy, prawdziwy wielbiciel świata zwierzęcego, zdoła przyrodnikom dostarczyć wskazówek o obyczajach wielu prawie niedostępnych zwierząt. Tak więc przyrodnictwo i łowiectwo wspierają się wzajemnie w skutecznych dążeniach do swoich celów. Nauka tylko czyni z łowiectwa nie surowe rzemiosło lub pańską rozrywkę, lecz samowiedne dzieło duchowej treści. Czcze amatorstwo i stare bezmyślne przesądy nie mają przystępu do wykształconego myśliwego. Nie uspokaja on morderczych chuci, nie myśli on o pozyskaniu smacznego mięsa, ani też o zysku, lecz pojęcie piękności i harmonii w świecie zwierzęcym jawi się w jego umyśle, a miłość dla niego i dla przyrody staje się duszą jego czynności. W samotnych wycieczkach, śród najnieprzyjaźniejszego powietrza, na najgorszem stanowisku, nie pozbawiony on, tak jak nieuk, duchowego uroku. Zmysł jego badawczy pracuje na każdem miejscu i w każdej porze roku i czas mu skróca pożytecznie. O wiele bardziej jak gospodarz rolny, ma on sposobność badać niedocieczone sfery instynktu. Czyni spostrzeżenia nad zwierzętami przeważnie w swobodnym ich stanie, kiedy głos przyrody w całej pełni w nich się odzywa, więc te spostrzeżenia jego, rozumnie skierowane, są nieocenionej wartości dla rozjaśnienia wielu ciemnych zagadnień w tej sferze naukowej. Wszelkie pojawy instynktu wymierzone są ku zachowaniu jednostki i rodzaju, a jednak zupełnie niezawisłe od rozwagi i doświadczenia. (?) Nazwałbym je, jeżeli dozwolone jest mechaniczne porównanie w psychicznych zjawiskach, automatycznemi poruszeniami duszy zwierzęcej, których pojedyncze składniki tworzą w przeciągu lat tysiąca jeden wynik, działający bezwiednie dalej w jaju i nasieniu. Pojawy instynktu są raz na zawsze uregulowane, nie podlegają rozmnożeniu się, ani też stopniowaniu. Starożytne wykopaliska nauczają, że jaskółka budowała swoje gniazdo przed 2000 lat w ten sam sposób i z takiego materyału, jak dzisiaj. Co więcej, instynkt działa w wielu wypadkach tak potężnie, jak najbystrzejsza ludzka myśl. Ul dostarcza w tym względzie najdosadniejszego dowodu. Najzawikłańszym problemem w matematyce jest między innymi oznaczyć dokładnie kąt, pod którym trzy powierzchnie stanowiące podstawę sklepienia, zetknąć się z sobą muszą, aby uzyskać największą oszczędność w materyale i pracy. Należy to do działu wyższej matematyki. Maclaurain wykazał, że jest to właśnie ów kąt, pod którym trzy powierzchnie w komórce woskowej w istocie z sobą się stykają. Tak więc okazuje się instynkt jako nabytek odziedziczony, właściwy pewnemu rodzajowi, ale zarazem jako część owej idei, która świat zbudowała. Lecz oprócz instynktu i zupełnie niezawiśle od niego, posiadają zwierzęta także samoistną duchową treść, której pojawy wykraczają po za sferę zachowania indywiduów i rodzajów

często jednak z trudnością od instynktu odróżnione być mogą. Jestżeż to rozumna przezorność czy instynkt, gdy bóbr buduje magazyny i składa w nich zapasy? Takie zagadki mogą być tylko wtedy rozwiązane, kiedy na podstawie badań wnikniemy głęboko w duchowe życie zwierząt i będziemy się starali wykryć, o ile one zdołają czerpać naukę z doświadczenia, lub też przez reflexye i assocyacye myśli duchowe, dają podstawę swoim czynnościom. Troskliwe badanie na wolności żyjących i działających zwierząt, jakie głównie myśliwy wykonywać może, zbierze w tym celu wiele istotnie cennego materyału. Niestety nie wiele w tym względzie pojawia się dobrej woli i uzdolnienia, i to jest przyczyną, że dotąd o prawdziwie nauczającem życiu duchowem zwierząt niedostateczne mamy wiadomości. Jak bystrym musi być zmysł dostrzegawczy, jak wytężoną uwaga starego psa lisiarza, gdy pędzi tylko za ruszonym lisem, i nie da się zbić z tropu przez innego lisa, który mu drogę przebieży. Oto mamy dowód wytężonej uwagi wymierzonej ku pewnemu, ściśle oznaczonemu celowi. Ułożony do łowów słoń baczy na każde spojrzenie, słyszy każde słowo i obietnicą nagrody da się do najwyższego natężenia pobudzić. Zamknięty słoń chciał pewnego razu podnieść monetę, ale była ona zbyt od niego oddalona. Nastąpiła chwila rozwagi, poczem nagle zwierzę wyzionęło z siebie ku przeciwległemu murowi promień powietrza, którego odbicie zbliżyło ku niemu monetę. Często się zdarza, że psy stróżujące około domu, pozwalają przechodniom spokojnie naprzód kroczyć, a opadają zatrzymujących się.

Liczniejsze są jeszcze dowody pamięci u zwierząt. Wiadomo, że psy poznają ludzi po wielu nawet latach. Niezwykły wypadek zdarzył się w Indyach. Ułaskawiony słoń uszedł i przez dwa lata włóczył się swobodnie po okolicy. Nakoniec udało się jego dawnemu naganiaczowi zbliżyć się ku niemu, słoń poznał natychmiast jego głos i dał się chętnie uprowadzić. Pewnemu lordowi skradziono ulubionego psa i wywieziono go daleko, a jednak pojawił się on w następnym roku u swego pana. Że zwierzęta czerpią naukę z doświadczenia, że nawet mają zmysł do oznaczania czasu, jest rzeczą stwierdzoną. Wiele ptaków znajduje się podczas odpływu morza na wybrzeżu, a w czasie przypływu cofa się z niego. Niejeden pies rozróżnia w tygodniu dzień, w którym rzeźnik płata wołu i jawi się wtedy po odpadki. Pies pewnego ściśle katolickiego irlandczyka, wywieziony do Anglii, nigdy nie chciał mięsa w piątek spożywać. Wrony na wyspach szetlandzkich rzucają zwierzęta opancerzone (skorupiaki) na skały, aby tym sposobem ich pancerze roztrzaskać, a gdy skorupy są twardsze, wznoszą się w górę i wypuszczają je na skały. Gdy się to nie uda, podnoszą się jeszcze wyżej, aby siłę upadku wzmocnić. Zdarza się przytem dosyć często, że inne pozornie obojętnie przypatrują się temu działaniu swych towarzyszek, ale gdy się ono powiedzie, uprzedzają je i szybko unoszą zdobycz. Wiadomo, że niektóre psy, umieją same popędzać bydło, nie tracąc ani jednej sztuki i że konie, chętnie ulegające dzielnemu jeźdźcowi, skoro poczują na grzbiecie fryca, rwą się z kopyta. Plutarch opowiada o pewnym psie w teatrze Marcella, który miał udawać otrutego. Drżał on konwulsyjnie, wył i jęczał, niby z bolu, padał i pozostawał przez niejaki czas nieruchomy, w końcu udawał, jakoby się budził z głębokiego snu. W Anglii używano jednego konia jako roznosiciela gazet. Umówiono się, że dwie o kilka mil od siebie mieszkające osoby naprzemian pierwsze będą otrzymywać numera tygodnika, który wspólnie prenumerowały. Koń najakuratniej co tygodnia głosił dzwonkiem swoje przybycie w należytym domu. O ile zwierzęta poddają się wpływom wychowania, świadczą zdumiewające rezultaty obłaskawiania. Można śmiało twierdzić, że nawet najdziksze zwierzęta dadzą się ułaskawić, jeżeli się w odpowiedni sposób z niemi postępuje. Nawet hyenę można zmusić do posłuszeństwa, a tygrys staje się towarzyszem człowieka. Jak dawniej władcy Persyi posiadali ułaskawione lwy, tak dziś każdy prawie indyjski fakir ma przyswojonego tygrysa. Pozostaje on ciągle w pobliżu jego chaty i towarzyszy mu w włóczędze żebraczej. W Indyach i Afryce obłaskawiają się często krokodyle do tego stopnia, że przyjmują karesy od swych dozorców. Życie przeto duchowe zwierząt jest przedmiotem pociągającym zarówno do badań, jak ważnym dla praktyki. Silny fundament przyrodniczej wiedzy, dokładna znajomość zwyczajów i życia duchowego zwierząt, jakoteż łatwe oryentowanie się w powstawaniu, rozszerzeniu i rozdzieleniu gatunków na przestrzeni ziemskiej, nie tylko podnoszą rozkosz myśliwską, ale też przyczyniają się do uszlachetnienia tego zawodu, jako osobnej nauki. Geografia łowiecka jest odłamem powszechnej geografii zwierząt, i powinna być systematycznie z niej rozwinięta. Wykonanie tego zadania jest rzeczą przewodnika łowiecko-geograficznego. My tylko możemy pobudzać do nauki, będziemy więc starać się w następnym wywodzie przedstawić czytelnikowi najgłówniejsze strefy łowieckie ziemi w osobnych obrazkach, postawić w jednym szeregu kraj i ludzi, zwierzęta i myśliwstwo w żywych postaciach. Uczynimy to na podstawie stref zwierzęcych, na jakie porównawcza geografia świat zwierzęcy dzieli.

1. Centralna górna Azya. Obejmuje wieniec płaskowzgórzy, rozlegających się od wybrzeży egejskiego morza aż do granic Mandżuryi, a od zachodu ku wschodowi na przestrzeni przeszło 1000 mil geograficznych. Na jej północy leżą sybirskie, na południowym zachodzie indyjskie niziny, brzeg otaczają potężne góry, śród nich Himalaja, najwyższy szczyt na kuli ziemskiej. Wschodnią granicę ku Chinom stanowią bogate rozdzielone wysoczyzny alpejskie, gdzie ojczyzna herbaty się znajduje. Przechód przez te góry jest nader mozolny, żadna z nich nie niższa jak 15.000′. W skutek ścieśnienia między Indem a Amurem dzieli się ów kraj górski na przed- i zaazyatycki. Ostatni obejmuje przestrzeń około 15.000, pierwszy 60.000 mil kwadratowych. Niezmierne rozłogi zasypane są piaskiem, a rozciągająca się na 500 mil puszcza Gobi jest jedną z największych przestrzeni pustyńnych. Dalekie obszary pozbawione są wód i stałej roślinności. Temperatura jest niską a wszelkie warunki dla rozwoju życia zwierzęcego zupełnie nieprzyjazne. Górna Azya ma dostatek koni. Jest on nieodstępnym towarzyszem mongoła, który nawet jego mięso spożywa, a z kobylego mleka wyrabia kumys. Dżigetaj i dziki osioł są tu w swojej ojczyźnie. Dwugarbny wielbłąd znajduje się tu jeszcze w dzikim stanie, dwa rodzaje antylop, dzikie zające i kozy przebiegają kraj, yak *(bos grunniens)*, którego delikatny, długowłosy ogon służy mongołowi za sztandar, wygrzebuje w alpejskich górach swoje pożywienie z wiecznego śniegu, i ułaskawiony przyczynia się do zaludnienia tego kraju. Lampart śnieżny sięga od Tybetu aż do Syberyi, pantera i tygrys osobno przeciągają z Indyi, kuropatwy, jarząbki, przepiórki i dropie są tu częste, a najważniejszym jako zwierzę łowne jest piżmowiec. Szcze-

góły stosunków łowieckich w centralno-azyatyckich wyżynach nie są jeszcze dostatecznie zbadane, wnętrze bowiem tych niezmiernych przestrzeni mało jest zwiedzane przez europejczyków. Pallas badał w tym względzie wyżyny Tybetu i stwierdził, że dżigetaj przeciąga tu gromadnie w liczbie 20 do 100 sztuk. Opisuje on owego łącznika między koniem a osłem, jako nadzwyczajnie dzikiego, nie dającego się ułożyć i ułaskawić.

O zwierzętach łownych tęgo kraju nie mamy, prócz lekkich wspomnień, żadnych prawie wiadomości. Jedyne największe dzieło opisowe tych okolic Vigne Travelsa, w Cashmere-Ladaky, nie daje dostatecznych wyjaśnień w tym względzie. Nadmienia tylko, że koczownicze pokolenia często polują na piżmowca, i że w górach alpejskich znajduje się licznie rodzaj koziorozca, o wiele większego jak europejski. Opowiada następnie Vigne, że ród ptasi bogaty jest w częściach Tybetu lasem pokrytych, i że myśliwy wiele tu doznać może prawdziwej rozkoszy. Dwa świetne rodzaje bażantów, mianowicie bażant hełmiasty, z czerwoną głową, z kasztanowato brunatnem, biało i czarno nakrapianem upierzeniem, niebieskiemi smugami na szyi i ponad oczami, jakoteż *Lopophorus refulgens*, przez Tybetanów złotym ptakiem zwany z powodu metalicznie jaśniejących piór, są istotnemi osobliwościami prawdopodobnie najpiękniejszemi okazami bażantów w świecie.

2. Chiny. Świat zwierzęcy w Chinach, położonych ku wschodowi poprzedniej strefy, łączy się ściśle z nią. W ogólności są Chiny z powodu gęstego zaludnienia swoich bogato uprawionych nizin, ubogie w zwierzynę. Głównie rolnictwem zajmujący się chińczyk nie wiele dba o zwierzęta domowe, a tem mniej o łowieckie, i używa każdego kawałka ziemi pod uprawę. Hodowanie jedwabników które Europa ztąd otrzymała, zatrudnia miliony rąk, a złote rybki wywodzą także swoje pochodzenie z bogatych w ryby wód tego kraju. I bażant z tamtąd pochodzi, Chiny są właściwą ojczyzną rodu bażantów. Naród tyle się za pożytkiem upędzający, jak chiński, mało naturalnie może mieć skłonności do łowiectwa i wszelkiego sportu. Jak chińczyk uważa przechadzkę i taniec jako rzecz wcale niepotrzebną, tak też lekceważy nemrodowe zabiegi europejczyka, i ogranicza się przyjemnością rybołowstwa. Łowiectwem zajmują się tylko dostojnicy, a przedewszystkiem dwór, staje się ono rodzajem dworskiego ceremoniału i odbywa się z wielką pompą i przesadną wspaniałością, która jest głównym wyrazem azyatyckiego charakteru. Rankin brał udział w pewnej uroczystości, którą urządził cesarz Kachmi w swoim zwierzyńcu, w pobliżu Pekingu, na cześć rosyjskiego posła. Opowiada on: „Powiedziono nas na sztuczny pagórek, na którym rozpięto namioty dla cesarza i jego rodziny. Tu zastawiono ucztę, podczas której dowiedzieliśmy się, że mamy się ucieszyć sceną żywo poruszającą łowów tygrysich. Cesarz kazał uwiadomić posła, że na jego cześć ma się odbyć polowanie na trzy tygrysy. Łowy na dzikie zwierzęta uważane tu są jako najwytworniejszy rodzaj sportu, a ponieważ nie ma ich w kraju w obfitości, to bywają one w zwierzyńcach hodowane. Na kilka mil rozciągający się rewir w pobliżu Pekingu otoczony wysokim murem; jest podobno najbogatszym w zwierzynę na całej ziemi, mieści bowiem w sobie tygrysy, lamparty, rysie niedźwiedzie, jelenie, zające, kuropatwy i bażanty. W pobliżu cesarza znajdował się jego łowczy nadworny z złają siwych psów. Szeregi gwardyi uzbrojenej w lance otaczały pagórek dla bezpieczeństwa dworu i gości. Przytoczono klatki tygrysie. Jeden z jeźdźców otworzył kratę za pomocą liny i uszedł corychlej. Tygrys wyszedł zwolna, tarzał się w trawie, wstał, rozglądnął się w koło i wolno ruszył nazad. W tej chwili strzelił cesarz po raz pierwszy, a ponieważ chybił, zaprosił posła, aby swego szczęścia myśliwskiego próbował, co też uczynił kładąc tygrysa trupem. Podobnie się działo przy drugim tygrysie, ale nieco żywiej przy trzecim. Zwierze okazywało się obojętne i apatyczne. Aby go podrażnić, wypuścił jeden z jeźdźców strzałę z łuku ku niemu. Wnet tygrys wpadł w szał wściekły i rzucił się na jeźdźca, który tylko rączości konia zawdzięczył swe ocalenie. Następnie wpadła ta bestya na szeregi gwardyi usiłowała przeskoczyć je, i lance ją naszpikowały. Dwór chiński utrzymuje także nadwornego sokolniczego z przepysznymi ptakami. Niektóre sokoły miały na sobie, według Rankina tak śnieżne pióra, jak najpiękniejsze gołębie, a na skrzydłach tylko i ogonie znaczyły się jedno lub dwa piórka. Sokoły te pochodziły z Syberyi.

Tygrys, lampart, bawół, rynoceros i słoń są wprawdzie jeszcze w Chinach, ale w ogólności bardzo rzadko, lwa wcale nie ma. Jak już nadmieniono, łowiectwo nie jest sportem narodowym, uprawiane bywa tylko przez wysokie stany i jedynie w sztucznych rewirach. Ale i tu jest ono tylko jednym z wielu przedmiotów zbytkowéj wystawy, nie zaś wynikającą z wewnętrznéj potrzeby łowiecką przyjemnością. Inaczéj rzecz się ma co do rybołowstwa, któremu dostojnicy z prawdziwem zamiłowaniem się oddają. Łowienie ryb i strzelanie do ptactwa jest u nich ulubionem zajęciem, posiadają też bogato ozdobione łodzie i osobnych nurków dla polowania kaczego. Ci nakładają na głowę kalibasę, z otworami dla oddechu i oka, i tak się zanurzają. Ponieważ kaczki chętnie ów owoc spożywają, zbliżają się ku niemu, skoro go ujrzą na wodzie, a nurkowie chwytają je za nogi w chwili, gdy po ów owoc sięgają dziobem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Si non e vero, e ben trovato.

. . . .
. . . .
Albo ja! — raz, mociumpanie,
Co za pyszne mam spotkanie!
Wracam z kniei już zmęczony,
Mam wszystkiego dwa patrony.

Mróz!.. — stąd siność mego nosa — —
W tem, gdzie miałem kawał prosa,
I gdzie jastrząb bije, pławi,
Kuropatwy pies wystawi.
Pyf! Stop! prrr! bac, bac, — jest kilka!
Aż tu w krzaku widzę wilka.

Bęc! raz — drugi, basiór leży...
„A pścich!“ — Asan mi nie wierzy?
„Dwa patrony — cztery strzały?...
Nie... to chyba lapsus mały —“
— Eh, w zapale się wypsnęło!...
„Skąd się proso w zimie wzięło?“
Proso?... Prawda... Widzisz przecie,
Że to właśnie było w lecie...
Tylko we łbie się splątało.
Ale dość, że tak się stało.

Ja zaś, ale to fakt panie!
A ciekawy niesłychanie.
Raz, na lisim gdzieś przesmyku,
Ciągnę starkę łyk po łyku,
Nagle na sztych dzik wyskoczy! —
Walę śrótem między oczy.
A niechże cię... poszła jucha,
Aż kongestya w łeb mi bucha.
Mądry Polak, lecz po szkodzie,
Więc już kulę mam w odwodzie.
Słucham w gąszczu szmer i kwiki,
Patrzę, idzie dzik — dwa dziki;
Przodem warchlak. Gruba sztuka
Tuż w trop za nim. U kaduka,
Gdyby w jedno zlani ciało!...
Puszczam malca, jak przystało,
Zaś odyńca w sam gwizd walę!
Warchlak pomknął tuż po strzale,
A odyniec — wszyscy święci!
Jak szalony młynka kręci,
I łbem wściekle o pnie trzepie.
Cóż się stało?! Przedtem w ślepie
Wziął widocznie z pierwszej lufy,
Bo farbował gdyby z kufy.
Lecz zawlókłszy się gdzieś w krzaki,
Zwołał sejmik. Wyrok taki:
Deleguje sejm młodzika:
Malcze, służ za przewodnika.
Dzik za ogon łap warchlaka,
A gdy ten wiódł nieboraka,
Kula ogon — szaśt! przy szynce.
Warchlak pomknął, stary w szprynce,
I na miejscu się wciąż żżyma.
Patrzę — on w kłach ogon trzyma.
Idę bliżej doń po cichu,
Eh, to heca warta śmiechu:
Ten ogonek w palce biorę —
Dzika wziąłem jak na sforę.
I tak wiodę do mych druhów,
Dzielnych strzelców, tęgich zuchów,
Ślepiec myśląc, że go młody
Warchlak wiedzie skryć za kłody,
Prosto — panie — jak po strunie,
Niby baran za mną sunie.
Grzmot oklasków, huczne brawa,
Dla myśliwych to zabawa!

Nowy koncept z nieborakiem:
Nuż dosiędę go okrakiem,
Wytok wiążę do ogonka,
W ręce daję go Szymonka,
A on do dom go prowadzi.
Dzik galopkiem ze mną sadzi.
W domu puszczam go w dziedziniec
I gotowy mam zwierzyniec...
— „Ależ to łże, aż schną ściany!
— Oto puszcza nam tumany!...“

— Dajmy na to, że tak było,
Lecz co mnie się raz zdarzyło:
Ku lasowi zdążam błonią
Na ciąg słonek. Słucham — gonią
W kniei pieski, ba, i strzały —
Wreszcie trąbki też zagrały.
Więc do Maćka: — Źle się dzieje,
Toż plądrują naszą knieję!
Strzały, trąbki i psów wrzawa. —
„Jaśnie panie, to obława!“
— Hej na przełaj Maćku żwawo
Od zapustu, hen na prawo! —
Sam zabiegam od granicy.
Nieujdziecie kłusownicy!
Wyłapię ja tego zucha!
W tem paf! i fiu-u koło ucha,
Jak gadzina syknie kula.
A to szelma!... Wszak łotr hula
Jak na swojem. W tem lisiura
Tuż koło mnie w krzak dał nura.
Walę — jeno migła kita,
Leży. Słucham — ktoś się pyta:
„Wojtek, siła legło trupa?
— „O jegomość, dyć jest kupa! —“
Tfu! to jakieś chyba czary,
Mówią, trąbią, grzmią ogary;
Kule gwiżdżą koło ucha,
A żywego niemasz ducha...
„Excellenter! — Cóż to było?“
— Hm... mój sąsiad, pan Studziło,
Co to znacie jego dzieje,
W zimie mi spolował knieję,
A że mróz był doskonały,
Wszystkie głosy zamarzały;
Więc się sprawił tak po cichu,
Żem nie wiedział o tem lichu.
Wiosną, kiedy zamroź taje,
Knieja sama raport zdaje;
Huczą echa, głos topnieje — —
„Ależ to są znane dzieje“.
Pan Deodat rzeknie na to.
„A to pływa!... Ej Rewero, —
A Radziwił?!“ — Non e vero?
Rzecze łgarz: e ben trovato! —

Seweryn Krogulski.

WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE

MARCELEGO hr. TYSZKIEWICZA.

Drogi mój Towarzyszu lat ubiegłych Antoni Zapolski! Z prawdziwie serdecznem rozrzewnieniem czytałem Twoją do mnie odezwę w „Łowcu". Podajesz swój adres, dziękuję Ci, ale nie myśl, że zapomniałem Wasylówkę, gdzie tyle miłych chwil w młodości mej przepędziłem. Prawda, że nie wiedziałem stacyi kolei, bo jej wtedy nie było, ja z Konstantym jeździliśmy rysakami, a Ty kucami, ale myślę, że i kolej tam teraz prędzej nie chodzi, jakeśmy jeździli! Jak czytam szlachetna pasyjka myśliwska nie ostyga w Tobie. Pamiętam raz w Wasylówce powiozłeś nas na spacer, pies legawy pobiegł za nami, było to w Lipcu, a jechaliśmy ponad błotem, pies staje, wyskakujesz z wózka i podchodzisz, dubelt się zrywa, a Ty zapominając, że trzymasz bat z całem zacięciem mierzysz go, tak mi to stoi w pamięci jakbym teraz to wszystko miał przed oczyma. Pamiętam dom, ogród, staw, nawet tę boginię kamienną, co się kąpie w stawie i tę scenę, jak W. P. podkradał się aleą, a podniosłszy się, zapytał: „a panienka co tam robi?" bo ktoś był chusteczką jej głowę zawiązał. Ja często Ciebie i Konstantego wspominam i poluję jeszcze na wszystko, lecz tylko z naganką, gończych tu niema — więc sięgając pamięcią w dawne lata, chcę coś napisać o polowaniu z gończymi, poświęcając te wspomnienia Tobie mój stary druhu.

Zastanawiałem się dlaczego w Galicyi nie polują z gończymi, a nawet i nie piszą i zrozumieć tego nie mogłem. Czyżby już to tak pełne poezyi polowanie było nawet zapomniane, a przecież są tu miejscowości, które jakby były stworzone do tego rodzaju polowania, na przykład weźmy Podole, tam są ogromne gąszcze nad rzekami, parowami i skałami, w których z naganką nic zrobić nie można, a dziki i lisy naturalną śmiercią schodzą z tego świata. Cóżby to za rozkoszne tam było polowanie z psami, choćby to tylko były taksy, które pewno zwierza nie rozpędzą. Myślałem, że może to robią dla względów towarzyskich, ale nie, bo przecież i z gończymi można w większem kółku polować. Może dla kosztów — i tego nie powiem, bo utrzymanie kilku sfór gończych mniej kosztuje jak naganka. Co do rozpędzania zwierzyny, to pytam, gdzie ją z naszego kraju wypędzą, bo gdy dziś wypędzą ją do mego sąsiada, to jutro on znowu do mnie ją przypędzi, a jak tylko psy same nie chodzą, to i zwierzyna się nie niszczy. Więcej ginie zwierząt z naganką, jak z psami, ale jakaż różnica przyjemności! Wolę ja zabić jednego zająca przed gończymi, jak dziesięć przed naganką, bo i cóż to za rozkosz słyszeć dobry gon psów jednego gniazda, a szczególnie gdy głosy są dobrze dobrane i są barytony, basy, tenory, soprany. Ot niejeden powie, że profan jestem, ale jak czuję, tak mówię, wolę tę muzykę, jak najlepszą operę Wagnera. Często bywało jadąc nawet w pilnym interesie, gdym usłyszał dobry gon psów, tom kilka godzin stał na miejscu jak zaczarowany, aż ucichło, zmrok zapadł, a ja ruszając dalej przeklinałem pasyę myśliwską, żeby drugim razem znowu to samo zrobić. Niedawno temu byłem na spacerze z paniami, w tem w krzakach usłyszałem gon taksa, pudla i pińcza, a tak mnie to zelektryzowało, że wyskoczywszy z powozu popędziłem w las. Gdym wrócił śmiano się ze mnie, alem się nie tłómaczył, boby mnie nie zrozumieli, ten mógłby tylko pojąć, co jak ja całą młodość z psami przepolował.

Zaczynam od opisania gończego, bo może być, że się znajdzie taki myśliwy, który nie wie, jak on wygląda. Ogar albo gończy jest po większej części czarny, podżary t. j. żółty pod brzuchem, koło pyska i ma takież plamki nad oczyma, uszy kłape i zakręcony ogon, chociaż są siwe, srokate, ale zawsze żółte centki nad oczyma mieć muszą. Na Litwie nazywają ten rodzaj psów ogarami, na Ukrainie gończymi, jednakże zdaje się, że między jednym a drugim niema różnicy. Psy chorążego Sienińskiego i p. Tadeusza Chojeckiego były czarne, czarno podżare, lekkie, duże i nazywano je ogarami, były wyborne, tak do wilka jak do zająca. Seweryna Abramowicza były niewielkie, siwe, do wilka doskonałe, także widziałem psy kosmate czarno-podżare, nazywano je kurlandzkimi. Adam Wyleżyński wyprowadził małe pieski od pokojowej suczyny Szarloty, po kurlandzkim psie, bardzo podobne do chartów, można było zabrać ze sześć sfór do małego wózka, a wybornie goniły w łozach, w futorach a nawet i oczeretach. Jak dziś pamiętam Fagot prym wodził. Raz przyjechaliśmy do futoru, pasiecznik wychodzi i mówi, że już dziś dwie partye myśliwych spolowały futor z gończymi i chartami, jednakże Wyleżyński kazał puścić Fagota, żeby sprawdził. Było tam jezioro z kępinami, pies zaczął się odzywać od czasu do czasu tak, jakby zławiał, szczwacze objechali futor, a ja z Adamem wjechaliśmy do środka aż do jeziora, pies łazi po kępinach, patrzymy, a zając siedzi na czystej wodzie, że mu tylko grzbiet i słuchy widać. W tejże chwili pies go zwęszył i porwał na oko, byłto jeden z najlepszych psów, którem widział. Rozbierał on trop zająca w południe, gdy było zupełnie sucho, aż go ruszył. Najłatwiej psu gonić sarny, lisa i wilka, najtrudniej zająca, bo ten ciągle skręca i zaskakuje; pies, co go dobrze goni jest najwięcej ceniony. Gończe psy powinne mieć zagrodę, żeby mogły chodzić na świeżem powietrzu, na rosę tylko można je brać posforowane i dojeżdżacz konno musi je prowadzić. Niektórzy myśliwi mieli sposoby, żeby psy się wygoniły i miały zaprawę. Chorąży Sieniński miał chowanego lisa, który swoją kryjówkę miał między kłodami i gdy dojeżdżacz podprowadził dwanaście sfór gończych, a zatrąbił, lis wyskakiwał i odbiegał o jakie sto kroków i gdy ten trzasnął z harapa i krzyknął: „Dalej, ha!" psy szły przez ogród i rudę za lisem do lasu i z największą pasyą goniły z godzinę, aż lis się zmęczył i tąż samą drogą wrócił do swojej kryjówki, psy darły się do kłód, a gdy dojeżdżacz zatrąbił, lis wyskakiwał, psy najspokojniej stały, a ten zaczął się w najlepsze bawić z psami i tego za ucho, drugiego za ogon szarpał. Całą tę muzykę i zabawę nieraz widzieliśmy u chorążego. U Zapolskiego Konstantego wilk był na łańcuchu przy stajni w budzie i prawie co dnia psy go goniły. Było raz zabawne zdarzenie ze Sprawnikiem. Sprawnik był dobrym

myśliwym i nigdy bez strzelby nabitej lotkami na dropie w drogę się nie ruszył. Raz przyjechał do Zapolskiego, nic o wilku tym nie wiedząc i kiedy jedzą śniadanie, chłopak wbiega i mówi, że wilk jest w parku. Zapolski porywa z kołka strzelbę, Sprawnik swoją, którą zostawił w sieniach i biegną do ogrodu. Zapolski stawia sprawnika tam, gdzie wiedział, że wilk przechodzić będzie, chwilę potem psy zagrały, i po półgodzinnej muzyce wilk wypada na sztych na kilkanaście kroków na Sprawnika, ten strzela z jednej i z drugiej lufy, a wilk jakby mu nic nie było idzie dalej, nadbiega Zapolski, Sprawnik przysięga, że nie chybił i że musi gdzieś niedaleko leżeć, bo po każdym strzale wywrócił się i charczał. Rozumie się, że wilka nie znaleziono, gdyż lotki ze strzelby Sprawnika były wyjęte.

Polowanie z gończymi w lesie jest prześliczne i musi się zawsze udać, byle dojeżdżacz był dobry. Na dobrym dojeżdżaczu zależy całe polowanie. Powinien on być na dobrym, spokojnym i niewielkim koniu, zawsze musi być razem z psami, a często trzeba przeciąć zwierza i trzaskaniem z harapa zwrócić go na strzelców. Prowadzący polowanie potrzebuje znać knieje, wagę zwierza i być w porozumieniu z dojeżdżaczem. Na dużym lesie bez dobrego dojeżdżacza niema polowania, zły pogubi psy jeżeli pójdą za sarnami, wilkiem albo lisem, które zawsze prosto i daleko idą. Sarna idzie z godzinę prosto i albo wraca albo się kręci w małem kólku, lis także tak idzie, aż się do jamy skryje. Ledwie kilku dobrych dojeżdżaczy znałem w mojem życiu, najlepszym był Kondrat, który dopiero w przeszłym roku umarł u Seweryna Abramowicza. Był on nadzwyczaj odważny, przepływał rzeki i na spławach kłuł wilki, nigdy strzelby nie brał w rękę, tylko używał kordelasa. Sławnie wabił wilki a wszystkie knieje na całej Ukrainie znał doskonale. Ja zwykle na sarnę polowałem konno we dwóch z dojeżdżaczem, a ile razy potrzeba mi było sarny najczęściej ją w ten sposób dostawałem. Na taką wyprawę brałem tylko dwie sfory starych gończych i Wasyla dojeżdżacza. Ja na kobyle Stelli stawałem na stanowisku, Wasyl odprowadzał psy, puszczał je i dojeżdżał. Jak pogoniły sarny, a te od razu wyszły na mnie, to było i po polowaniu, ale gdy przeszły inną stroną, wtedy trzeba było z godzinę kłusować, żeby je w drugiem miejscu przeciąć, a jak i tam się nie udało, to po dwóch godzinach już tak były zmęczone, że się w małem kole obracały i albo zabiłem albo psy bez strzałów wzięły; takato była rączość tych psów. Pamiętam raz jak zwykle wyjechaliśmy do dnia tak, że nam słońce zeszło na popowej sianożęci t. j. o dobrą ukraińską milę od domu. Wasyl poprowadził psy w prawo, a ja pospieszyłem kłusem na graniczny rów Czerwoński i stanąłem na zwykłym sarnim przesmyku. Wkrótce usłyszałem trąbkę, trzask harapa i głos Wasyla: „Dalej — ha", i chociaż to było daleko, ale ranek był cichy i po rosie echo się niosło. W tem Wypłosz odezwał się raz i drugi, uciął, a potem zaczął już równo gonić. Trafna i dwoje drugich psów przyłączyło się, a głosy niosły się wprost ku mnie. Z odwiedzionymi kurkami, bijącem sercem, siedząc na kobyle oczekiwałem sarn. Po godzinie już widziałem, że to one być muszą. Stałem na drodze, w plecach był rów, na lewo łączka, przed sobą miałem gęste krzaki. W tem kobyła zwróciła głowę w lewo i w chwilę potem prześliczny rogacz wyskoczył na polanę. Strzeliłem, a rogacz w kozłach aż w rów się przewrócił, zeskoczyłem z kobyły i ledwie byłem przy rogaczu, a już i psy były koło mnie, w kilka minut i Wasyl także przyjechał, psy zabrał na sfory, rogacza przebił, utroczył do siodła i ruszyliśmy ponad rowem ku domowi. Kiedyśmy skręcili na prawo na małą leśną drożynę, Wypłosz pociągnął na sforze Trafnę w krzaki, obejrzeliśmy się, że psów niema, aż słyszę naszczekiwanie i to tak, jakby na coś stojącego i broniącego się. Wasyl podjechał tam i krzyczy, żebym prędko do niego spieszył, przedzieram się przez krzaki i widzę, że czworo psów ujada nad jamą, puszczam kobyłę, patrzę, że jakaś łysa morda pokazuje się i znowu się chowa. Każę Wasylowi odprowadzić psy, odwodzę kurki, mierzę i kiedy łysina się pokazuje, strzelam, potem nic nie widzę. Teraz dopiero strach włożyć rękę do nory, a nuż żyje, to skaleczy, lecz Wasyl trzonkiem harapa popróbował i chwilę potem wyciągnął ogromnego borsuka, który widać dopiero zaczął kopać jamę. Dostał w sam łys cały strzał, tak był tłusty, że ledwośmy we dwóch włożyli go na konia, Wasyl już piechotą całą drogę do domu iść musiał.

Przypominam sobie zabawne zdarzenie w tymże lesie, kiedy w kilkanaście strzelb polowaliśmy na sarny. Rozstawiłem strzelców na szerokiej drodze Skakawieckiej, zatrąbiłem, Wasyl się odtrąbił, ale tak daleko, że ledwo można było dosłyszeć, w pół godziny dopiero usłyszałem gon psów, który się wprost do nas zbliżał, popatrzyłem na linię strzelców, wszyscy widać słyszeli, bo każdy stał spokojnie trzymając strzelbę w pogotowiu. Ja stałem ostatni niedaleko młyna, koło mnie książę Z., który chociaż na lewe oko nie widział, ale dobrym był strzelcem; tymczasem psy z wielką szybkością się zbliżały tak, że już cały parów pełen był tej muzyki. W tem trzeci strzelec odemnie strzela, zaraz potem prawie jednocześnie padają dwa strzały, nakoniec książę Z. mierzy i pali, a do mnie kiwa, że zabił. Widziałem jak troje sarn przemknęło przez drogę, lecz psy się zatrzymały. więc zrozumiałem, że i zabita być musi; po niejakiej chwili Wasyl nadjechał i przy rogaczu, którego zabił W. R., psy połapał. Mój ojciec zabił sarnę i tak wszyscy podchodzą ku mnie i pytają, kto tu strzelił, ja odpowiada Z. zabiłem rogacza, który wywracając się, tak beknął, jak cielę. W tej chwili wózki nadjechały, chłopak pobiegł w krzaki i rzeczywiście wynosi cielę mielnika. Co było śmiechu i żartów z tego, że rogacz beczy jak cielę, każdy może sobie wystawić. Potem zjedliśmy śniadanie na wózkach jadąc, żeby czasu nie tracić i tak dojechaliśmy aż do Niegóreckich krzaków, żeby zapolować na zające. Było to w Septembrze, dzień był prześliczny, bez słońca, tylko mgla zakrywała świat Boży, w powietrzu było tak cicho, że gon psów o milę się słyszało. Kilkunastu strzelców rozstawiło się na drodze, a dwóch dojeżdżaczy Gmyterko i Wasyl odprowadziło dwanaście sfor gończych. Nikomu z miejsca schodzić nie wolno było, zatrąbiłem, odtrąbiono się, puścili psy i w pięć minut potem zaczęła się muzyka, a głos po rosie tak się niósł, że aż w piersiach gadało. Z lewej strony padł strzał, aż mną wstrząsnęło i usłyszałem głos mego ojca: „na cu-cu-cu..." W chwilę potem przyspieszone głosy psów, aż gon ustał, tylko w niebogłosy zając krzyknął „kniaź!" a potem głos dojeżdżacza: „A harap!" Koncert ten trwał ze dwadzieścia minut, ale jakaż to błoga chwila dla myśliwego i gdy się głosy zbliżały, to serce mocniej biło, oddech zatamowywałeś a słuch i wzrok natężałeś. Prawdziwie, że na samo wspomnienie o tem, dziś jeszcze dreszcz przyjemności przebiega. Do trzeciej godziny po południu zabiliśmy jeszcze 7 zajęcy

i wierzcie, ze więcej przyjemności mieliśmy, niż gdybyśmy zabili 40 z naganką. Potem jeszcze puszczono psy w oczeret i któryś z panów zabił lisa, następnie siedliśmy na wózki i pojechali na smaczny obiadek do domu.

A czy pamiętasz kochany Towarzyszu te wszystkie koncepta i miły humor Ksawerego i te zabawne dysputy z Konstantym? Jak raz w Siedliszczach na wilczem polowaniu Kostuś zabił ogromnego wilka i w chwili gdy idzie jego brać, Ksawery ze swego stanowiska strzela, (rozumie się, już do nieżywego), wtedy Kostuś mu mówi: „Daremnieś bratku strzelił, bo to nie dubelt“. Trzeba tu wiedzieć, że Ksawery nie był myśliwym ze strzelbą i tylko polował dla kompanii, psa legawego także nie miał, ale dubelty bardzo mu smakowały, więc chodził z Konstantym na błoto z taką umową, że kto podejmie dubelta, to do niego należy, więc starał się tak chodzić, żeby razem z Konstantym strzelić, a potem na wyprzódki z psem, kto pierwej dobiegnie i często bywało, że miał więcej w torbie od Kostusia, chociaż błota miał także sporo na plecach a często i na nosie.

Przypominam także świetne polowanie na wilki u Ciebie w Broweckim lesie z sieciami. Psiarnie były zbierane i osobno goniły, jedne wilki, a drugie sarny i lisy, wtedy to zalazłem w taki gąszcz, że tylko dziwnym wypadkiem zabiłem wilka, strzelając na dwa kroki i to był chybny strzał, bo wilk dostał cały nabój w głowę. Wracając do domu jechałem powozem z Kaziem Abramowiczem, przejeżdżaliśmy właśnie koło dwuletniego zrębu, trawy w tem miejscu były ogromne, trąbiono pojezdne, siecie ściągano na wozy, łapano psy na sfory, tylko gdzieniegdzie pojedyncze się głosy jeszcze odzywały. W tem zobaczyłem coś siwego na jakie sto kilkanaście kroków, widziałem, że albo wilk albo sarna, zatrzymuję więc furmana i strzelam, po strzale nic nie widzę, ale przez ciekawość wyskakuję z powozu i biegnę w to miejsce i dopiero dobiegłszy o kilka kroków od tego miejsca, widzę leżącego rogacza. Kiedyśmy się już zebrali razem, Kazio kazał odpiłować rogi z czaszką i prosi Ciebie, czy może je wziąć, wtedy ja biorę je z zimną krwią, przypinam do torby mówiąc: „Jeżeli się komu należy, to temu, kto rogacza zabił“. Prawda, Kazio był wtedy jeszcze młody, ale tak się zmieszał, że mi tego długi czas nie mógł zapomnieć i jeszcze za granicą mi to wypominał. Jeżeli się nie mylę, to zdaje mi się, że na tem polowaniu padło 11 wilków, 4 sarny i do 20 lisów. Ciekawy jestem, czy zawsze w tej kniei jest taka masa lisów? Chciałbym jeszcze choć raz w życiu zapolować z Wami, kochani Towarzysze, posłyszeć tę cudną muzykę, a zdaje mi się, żebym odmłodniał o lat 20 i jak dawniej kłusem z pół mili popędził, żeby przeciąć na przesmyku lisa lub na garbach sarny i posłyszeć trąbkę Kostusia i Twój głos: „na ho-ho-ho!“ po każdym strzale, bo myślę, że jeszcze oko i ręka tak jak dawniej nie zawodzi i co strzał to trup. Ja także jeszcze nie źle strzelam, chociaż już mi wzrok nie dopisuje, ale nie mrożę oka i to mi nie robi żadnej różnicy w mierzeniu, zawdzięczam to dla mnie wielce ważne odkrycie sławnemu myśliwemu i strzelcowi hr. Leopoldowi Starzeńskiemu, który także nigdy oka nie mruży. Tak to, kochany Antosiu, lata prędko przemijają, już syn mój najstarszy, który także Antoni ma na imię, 20 rok kończy i lepiej odemnie strzela, emulujemy i tylko wprawą go biję.

Przenosząc się w dawne lata, widzę nas leżących pod dębem, zmęczonych i zniechęconych, bo gończe poszły za sarnami tak, że głosów nie słychać, Ty mi podajesz manierkę, potem każdy coś z torby dostaje i zajada, wózek o jaką milę od nas, dojeżdżacz pojechał za psami i zdaje się, że już siły nie stanie dojść do wózka, wtem posłyszałeś gon psów, przykładasz ucho do ziemi, ba! już teraz lepiej słychać, zrywamy się i puszczamy kłusem, a tak lekko, jakbyśmy ledwie z domu wyruszyli. Zmęczenie niby czarem gdzieś przepadło i dobiegliśmy na czas. Gosposia była kontenta, a my? Lepiej nie wspominać, by nie tęsknić za tem, co minęło, dosyć, że dojeżdżacz sprowadził nam wózek, a potem wróciliśmy do domu i z wielkim apetytem jedli barszcz. O jakaż wielka różnica z naganką a psami, ani tego ruchu ani emocyi takiej, już nie mówię o wilku, lisie albo sarnie, ale ten biedny zajęczyna, który przed naganką żadnej nie robi przyjemności, przeciwnie z psami przeistacza się w jakieś mistyczne zwierzę, do którego ci serce jak młotem bije, dziwne nawet, że to wytrzymać możesz i jeżeli kto tego nie odczuł, a nie wierzy, to radzę mu, żeby umyślnie pojechał na Ukrainę i zapolował, ale z dobrym myśliwym i dobrymi psami.

Nie zapomnę nigdy polowania u Stanisława Abramowicza w kniei, Bezwodnikiem zwanej, sławnej zwykle z polowania na wilki. W tym roku, który właśnie opisuję, wilków nie było, gdyż na kilka dni przed polowaniem sąsiad mu je potruł, lecz goście się zjechali, trzeba było polować. W nocy pozatykano jamy lisie, obrzucono sieciami kulec z kulcem przynajmniej z półtory mili w kniei, na środkowej linii stanęli strzelcy, puszczono psy, które przez trzy godziny bez ucięcia goniły, padło 68 lisów, 9 rogaczy i 5 borsuków, ja sam zabiłem 9 lisów i rogacza, dałem dubleta do dwóch lisów, pierwszy a może i ostatni raz w życiu. Trzeba wiedzieć, że lis nigdy do sieci nie wpada a idzie blisko ponad siecią, ja stałem na 60 kroków od sieci, trzy lisy jeszcze przepuściłem nabijając strzelbę. Takieto za młodu miało się spotkania, za to teraz na starość nie mam go zupełnie, i tak od kiedy jestem w Galicyi, nie zabiłem ani jednego wilka, chociaż co zimę poluję na nie i kilkanaście przy mnie ubito. Od lat kilkunastu także polując na dziki, zabiłem tylko 11, a od czterech 1, za to błotne polowania dobrze mi idą, bo błota są prześliczne, dubeltów huk, a jak dobry pies, to szczęścia nie potrzeba, ale to pewne, że bogini młodym tylko sprzyja, ot i teraz słyszałem, że w Lisowicach na starych towarzyszy ani spojrzała, a wciąż się do młodych zaleca jak do pp. Pietruskiego i Piegłowskiego. Od 17 lat wciąż poluję z iglicówką, mam do jednego łoża dubeltowe lufy, a tak gładkie jak i sztućcowe doskonale biją, czasem na grubszego zwierza biorę expressa, lecz zawsze z przyjemnością powracam do iglicówki. To dziwne, że pomimo dobrych strzałów, które sam dawałem i widziałem z lankastrówki, nie mogę się do niej nawrócić i chociaż zwierz padnie, zawsze robi na mnie wrażenie pukawki. Iglicówki strzał jest suchy, jakieś zupełnie inne odbicie, co robi, że po niej z niechęcią się strzela z innej strzelby.

(Dokończenie nastąpi).

Zwierzyna i łowy w Bośnii i Hercogowinie

opisał

Ernest Dąbrowski.

(Dokończenie.)

Dziki są tylko w małej liczbie w północnej Bośnii jakoteż w innych częściach kraju, ale wszędzie spotyka się trzody zdziczałych świń, a są one nie mniej groźnemi, jak krewniacy ich południowo-węgierscy i slawońscy. Przekonałem się o tem dostatecznie osobiście. Podczas jednej z moich samotnych wycieczek w okolicy Banialuki dotarłem do obszernej, miejscami rozległymi krzakami przeciętej łąki, która się ciągnie od Kragocan ku Iwaniskom, a na której znajdowało się tylko cztery czy pięć wysokich drzew. Doszedłszy do jednego z nich wystrzeliłem do przepiórki, dosyć daleko porywającej się, poczem ona znikła zapewne zdrowa w niskim około 60 kroków odemnie oddalonym gąszczu. Nie bez skutku jednak był mój strzał, po chwili bowiem wynurzyła się znaczna liczba czarnych, niekształtnych bestyi, bośniackich świń, które z zadziwiającą szybkością wściekle rechcąc ku mnie się rzuciły. Drzewo stało się dla mnie zbawczem. Niemal godzinę siedziałem na gałęzi, a podemną trzoda złożona z bezmała 50 sztuk błyszczącem okiem spoglądała ku mnie. W końcu udało mi się ciągłym krzykiem, nawoływaniem, strzelaniem, ściągnąć z pobliskiej wioski kilku bośniaków, i ci wraz z swymi psami rozpędzili tych groźnych napastników. Gdym potem opuścił moje schronienie, w nowe wpadłem niebezpieczeństwo, zagrożony przez pięć psów, opadających mnie zaciekle i umykających dopiero wtedy odemnie, gdym jednego z nich lotkami śmiertelnie ugodził. Ale wtedy znowu w innych znalazłem się opałach, cała gromada z przekleństwami i groźbami wpadła na mnie, i gdybym był wcześnie ucieczką się nie ratował, to niezawodnie w tym dniu płynęłaby krew ludzka, może obok innej i moja. Odtąd mam o bośniackich pastuchach, psach i świniach bardzo wysokie wyobrażenie.

Głuszce widziano dotąd tylko w okolicy Trawnika i w dinarskich Alpach koło Liwna. Cietrzewie są pospolitsze, także koło Banialuki, Iwanisk i w górach kozarackich, ale nigdzie w znaczniejszej liczbie.

Przeciwnie jarząbki są wszędzie w wielkiej mnogości mianowicie około Lubinia, Jajec, Dolnego, Vakufa, na Kozaraczu i Orłowaczu koło Banialuki. Obok Lubinia n. p. zabijali według wiarogodnego podania dobrzy strzelcy w pół dnia 15—20 jarząbków. W północnej Bośnii nie można wprawdzie mimo również znakomitego stanu jarząbków osięgnąć takiego rezultatu, ponieważ buszowanie jest niemożliwe; natomiast jednak przynosi przedziurawiona, nie zbyt gruba kość z skrzydła jastrzębia, służąca jako wabik, wyborne usługi. Zresztą słyszy się tylko jarząbki, dostrzedz ich w zwartym gąszczu niepodobna, z tego też powodu przypadkowe ubicie jakiej sztuki należy do nadzwyczajnych zdarzeń.

Zajęcy bywa z powodu mnogości niestrzeżonych psów, lisów, orłów i t. d. tylko w niektórych miejscach nieco więcej. W okolicy Banialuki niema prawie żadnego zająca, widziałem tam podczas pięciokwartałowego pobytu jednego tylko. Pomyślniejszym jest stan w Hercogowinie, około Mostaru, Kremenaczu, Stolaczu i Buny. Względnie pospolitym jest w Hercogowinie, mianowicie w okolicy Stolaczu zając alpejski.

Kuropatwy są tylko w niektórych okolicach kraju w znaczniejszej liczbie, a w Hercogowinie pospolitszemi jak na północy. Nawięcej bywa koło Domanowicz, Radiepola i Buny. Przy Banialuce aż ku górnej granicy nie widziałem ani jednej, a przyczyną tego jest niezawodnie niesłychana mnogość wron i srok, tych najgroźniejszych wrogów kuropatw i bażantów.

Przepiórki są wszędzie, gdzie się zboże i kukurudza rodzą, przedewszystkiem koło Banialuki nader wiele. Dobry myśliwy z wyżłem bije zwykle 20—30 sztuk.

Oprócz tych dwu rodzajów kur polnych mają bośniackie role dwa inne gatunki zwierzyny, z których jednego wcale u nas niema, drugi zaś znajduje się tylko w nader skąpej liczbie. Są to frankolin i kamionka. Frankolin mieszkający właściwie w Małej Azyi, a szczególnie w Syryi i Palestynie, znajduje się w małej liczbie w dinarskich Alpach tak po dalmackiej, jakoteż bośniackiej stronie koło Glawnacza i Liwna. Czy jest też w Hercogowinie, co by należało przypuszczać, niema pewności. W niesłychanej ilości spotyka się w Hercogowinie kamionkę. Wymieniony u wstępu oficer ubił w przeciągu roku 394 sztuk. Najliczniejszą jest ona w Winnicach i w skalistych stokach koło Buny, Stolaczu i Czernic.

Liczną też jest słonka w wszystkich odpowiednich miejscowościach, przedewszystkiem koło Omarska i Iwanisk w Bośnii, następnie koło Buny w Hercogowinie, i zimuje tam w znacznej liczbie.

Równie bogatym, jak kamionek, jest w całym kraju stan dzikich gołębi. Gołąb skalny jest tylko w Hercogowinie, grzywacz tylko na północy, a wszędzie w mnogich tysiącach siniak i turkawka. Ostatnia, szczególnie koło Banialuki znajduje się w tak mnogiej ilości, że żaden kraj takiego bogactwa tej zwierzyny, jak Bośnia, wykazać nie może.

Ptactwo wodne różnorodnego rodzaju jest u Narenty i Krupy w Hercogowinie w takiej mnogości, jak nigdzie, chyba może w delcie dunajowej koło Dobrudży lub na niektórych moczarach węgierskich. Ponieważ nie znam tych okolic z własnego przekonania, a wkrótce zamierzam zrobić tam ornitologiczną wycieczkę, to ograniczam się obecnie tą jedynie uwagą, a szczegółowy opis tego eldorada dla wodnego i błotnego ptactwa odraczam na później. W północnej Bosnii mają większe rzeki w lecie z powodu nader rwącego prądu mało wodnego ptactwa, ale w zimie, gdy Dunaj i Sawa zamarzną, mieści się tam mnóstwo kaczek, gęsi i innego wodnego ptactwa.

Podobnie dzieje się z ptactwem błotnem, którego również wielkie mnóstwo u Narenty i jej dopływów. Wspomnieć też należy z powodu wielkiego bogactwa bekasów

o moczarze zwanym Mostarskie błoto, położonym w stronie północno-wschodniej Mostaru. Mianowicie dla takiego myśliwego, który nigdy nie miał sposobności polować w południowej Europie i północnej Afryce na wodne i błotne ptactwo, będą miały owe miejscowości tem więcej uroku, że znajdzie on tam oba rodzaje pelikanów, łabędzie, flamingi i wiele innych exotycznych gatunków zwierzyny, jako stale przebywające.

Zamknąwszy wykaz pożytecznej zwierzyny przechodzę do drapieżnej i u wstępu już nadmieniam, że w niej właściwie leży siła główna i przyciągająca bośniackich łowów.

Niedźwiedź znajduje się jeszcze wszędzie, często nawet w pobliżu wielkich miast. Tak zamieszkuje on normalnie leśne wyżyny Vrbani, odległej od Banialuki zaledwie o 4 godziny, jakoteż w nie więcej oddalonych Iwaniskach. Najliczniejszym jest w dinarskich Alpach, w puszczy leśnej koło Trawnika, koło Newesinia i w planinie Ergut.

Bardzo rzadkim jest ryś, i z tego powodu nie mogę podać wskazówek o jego rozszerzeniu się.

W przerażającej liczbie znajduje się wszędzie tak w Bośnii jak w Hercogowinie wilk. Nawet w okolicy Banialuki i to w najbliższem jej oddaleniu, a szczególnie koło Omarska i Maglaja, chodzą wilki w zimie chmarami. W Grudniu 1882 r. spotkałem się na drodze między miastem Banialuką a dworcem kolei żelaznej, w nocy z wilkiem, który z drugiej strony rowu patrzał na mnie swemi żarzącemi się lampami i zniknął dopiero wtedy, gdym się porwał do broni. W Styczniu tegoż roku rozdarły wilki kobietę koło Maglaju i stojącego na warcie żołnierza w Trawniku, a w Omarsku zastrzelił tamtejszy szef sekcyjny dwa wilki z okna. Przykłady te świadczą wymownie o mnogości wilków. Zresztą znaczą wilki swój byt nie tylko w zimie, ale też wśród lata. W Lipcu r. 1882 udałem się na zasadzkę do źródła leśnego, oddalonego o półtory mili niemal od Banialuki, przy którem spostrzegałem wiele tropów sarnich. Po półgodzinnem może wyczekiwaniu pojawiła się koza z młodem i pasła się ledwie o 15 kroków odemnie swobodnie, zaspokoiwszy naprzód pragnienie. Nagle podniosła żywo głowę, wpatrywała się przez chwilę z położonemi łyżkami poza siebie i pomknęła w szalonych skokach ku gąszczowi. Nim jeszcze zdać sobie mogłem sprawę z tego zagadkowego zjawiska, a stałem cicho i z dobrym wiatrem, zwrócił uwagę moją lekki szmer, a po chwili stanął na haliznie potężny wilk wystawiając mi swój połeć, w oddaleniu może 20 kroków. Był to pierwszy wilk, któregom widział i to wywołało we mnie szaloną drżączkę, i z tego zapewne powodu chybiłem go. Drugi strzał powalił wilka na ziemię, ale wnet zerwał się i zniknął w tymże kierunku, w którym sarny pomknęły. Postrzał wykazał obfitą farbę, o 50 kroków znalazłem miejsce, gdzie wilk znowu padł, dalej niknęła farba i poszukiwanie aż do nocy nie dało pomyślnego rezultatu. Wypadek ten tem pamiętniejszym był dla mnie, żem się wtedy zabłąkał, całą noc przepędziłem w lesie i dopiero nazajutrz około godziny 10 rano do Banialuki powrócił. W kilka dni później rozdarły wilki zbłąkaną w lesie koło wsi Slatiny krowę.

Pospolitemi są również bardzo w bośniackich lasach lis i kuna leśna, ale borsuk znajduje się tylko w północnych stronach kraju. W Hercogowinie mało lisów i kun leśnych, tylko koło Nowosinia są w znaczniejszej liczbie. Natomiast kuna kamionka i szakal są tam dosyć pospolite.

Dziwnem mi się zdawało, że w północnej Bośnii ani śladu nie ma wydry i wiewiórki, szczególniej dla pierwszej byłyby rybne rzeki z podmulonymi brzegami nader pożądanym terenem.

Tchórz jest wszędzie, ale łasicy albo wcale nie ma, lub w nader skąpej liczbie tak jak chomik i suseł.

Skrzydlate drapieżniki są bardzo liczne z nader ciekawymi okazami, między którymi potężny orłosęp brodaty, ów dzielny rycerz, przedmiot ludowych gadek w Alpach, pierwsze zajmuje miejsce. Lubo, jak wszędzie, rzadki, to jednak pospolity w dzikich górach lodowcowych południowej Hercogowiny, mianowicie stykających się z Czarnogórą. Sęp płowy i sęp kasztanowaty są zwykłemi zjawiskami. Pierwszy rozszerza się w terytoryum okupacyjnem, mianowicie w Hercogowinie nader licznie, przeciwnie drugi, ptak charakteryzujący wschodnio-europejskie puszcze leśne, przeważnie w lesistej Bośnii. Również mały egipski ścierwnik biały *(Neophron percnopterus)* nie jest rzadkim w okolicach mniej leśnych Hercogowiny.

Zadziwiającą jest dla myśliwego, nie znającego podobnych terenów, mnogość orłów. Przy wielkich rzekach, mianowicie u Wrby i Sany, następnie u Narenty względnie pospolitym jest Birkut bielik. Orzeł przedni znajduje się wszędzie, a w niektórych okolicach Hercogowiny, mianowicie koło Stolacza i Newesinia, w tak wielkiej liczbie, jak nigdzie w Europie. Inne też gatunki europejskie jak rybołów rzeczny i krótkoszpon gadożer rzadsze są wprawdzie, jak poprzednie, ale rozszerzają się w całym terenie okupacyjnym.

Różnorodne drapieżniki z familii sokołów, kań, krogulców i jastrzębi, jakoteż sów, między któremi godną uwagi jest wielka liczba puhaczów, są w miejscowościach dla nich odpowiednich w mnogiej ilości.

Zamykamy tem sprawozdanie o bośniackich i hercogowińskich zwierzętach łownych, a przechodzimy do sposobów polowania i do określenia stosunków łowieckich w ogólności.

Od chwili okupacyi obu krajów ogłosiła Austrya dla nich osobną Ustawę łowiecką i naznaczyła czas ochrony, przestrzeganych z całą bezwzględnością, o ile to przy niedostatecznym a w części nieumiejętnym personalu dziać się może. Prawo polowania mają posiadający kartę łowiecką i paszport na broń; pierwsze wydają władze okręgowe, drugie rząd krajowy w Serajewie. Wykroczenia przeciw przepisom prawnym karane są po raz pierwszy grzywną pieniężną, sięgającą do 50 złr. lub doczasową utratą prawa polowania, w razie powtórnym zupełną jego utratą.

Myśliwymi są obecnie przeważnie austryaccy oficerowie i eraryalna służba leśna. Z mieszkańców kraju, którym odjęto prawo posiadania broni, używają broni myśliwskiej tylko niektórzy tureccy bejowie (właściciele większych obszarów), a szczególnie ci, którzy podczas walki w r. 1878 przyjaźnie dla Austryi byli usposobieni. Niektórym innym, których broń palna w austryackich magazynach rdzewieje, dozwolono polować tylko z sokołami. Zresztą nadmienić należy, że turecki myśliwy, strzelający wybornie do tarczy, wtedy tylko jest groźnym dla zwierzyny, gdy ona jako tarcza mu stanie, w innym razie wcale nim nie jest, gdyż z powodu używania wyłącznie broni palnej dawnych cza-

sów, nie zna wcale strzału w pędzie i w lot, albo też okazuje się nader niezręcznym.

Z sposobów polowania zasługują w obec innych na pierwszeństwo urządzane tu rządowe łowy na niedźwiedzie i wilki, nie tyle ze względu skutku, ile z powodu niesłychanej liczby strzelców i naganiaczów. Nikt się nie zadziwi, że na takich polowaniach, urządzanych także, jak wiadomo, w Węgrzech, Siedmiogrodzie, Galicyi i Rossyi, z powodu straszliwej wrzawy i całego zbyt ociężałego aparatu, tylko w wyjątkowym wypadku dochodzi się do pomyślnego rezultatu, nie zadziwi się zwłaszcza, kto zna dokładnie naturę i obyczaje powyższych drapieżników. Miałem niestety sposobność osobiście o tem się przekonać, nie chcę jednak tym opisem trudzić czytelników tem bardziej, że moje wspomnienia wykazać mogą tylko przykre niepowodzenia i że oni podobne łowy sami znają dostatecznie bądź z własnego doświadczenia bądź z opowiadań.

Ponieważ w terytoryum okupacyjnem, jak w ogóle na wschodzie, nie brak psów i gdy rozpowszechnione jest mniemanie, przynajmniej w Bośnii, że do prześladowania zwierza każdy pies jest usposobiony, wykonuje się przeto ten rodzaj polowania namiętnie prawie wszędzie na zające i sarny. Pominąwszy, iż takie polowanie wymaga wielkiej znajomości rzeczy i terenu, jeżeli się niema stać bezcelową rozrywką, to już sam teren w niewielu tylko miejscach bywa dla łowów z psami odpowiednim, z tego też powodu zwykle w Bośnii na takich polowaniach nie wiele zwierzyny dostaje się na rozkład i wcale nieodpowiednio do tamtejszego nader bogatego zwierzostanu.

Niższe łowy t. j. na zająca i kuropatwy, które w Bośnii niegodne są wspomnienia, pomijając, pragnę dać obraz opowiadanego mi przez austryackiego oficera polowania na kamionki w Hercegowinie; albowiem sposób ten nader ciekawy niezawodnie mało jest znany. Opowiada on w tych słowach: „Próżno przez kilka dni wysilałem się, wreszcie pomógł mi jeden z krajowców i za pewnem wynagrodzeniem nauczył mnie, w jaki sposób najłatwiej kamionki uzyskać. W miejscu zbornem oczekiwał mnie z olbrzymią tarczą obramowaną, mającą nakrzyż listwy, a na niej rozpięte było płótno posmarowane szarą farbą z kilku białymi pociągami, mającą wyobrażać skałę. Tarczę tę nazywają krajowcy „Igram“. Gdyśmy po mozolnym pochodzie dosięgli wreszcie bogatych w zwierzynę wyżyn Stolaczu, stanęliśmy w odpowiedniem miejscu po za igramem, a mój mistrz wydawał z siebie co chwila przerywany świst, co czynił w ten sposób, że palcem wskazującym w krótkich przerwach górnej wargi dotykał, a ustami wysyłał świszczący ton. Trzy lub cztery razy wabiliśmy tak w różnych miejscach, ale mój towarzysz zawsze dawał mi znaki, że w nich niema kamionek. Wreszcie chwycił mnie za ramię polecając tem milczenie. Spoglądaliśmy przez otwory igramu, a ciągle powtarzało się wabienie, na które kamionki szczebiotliwą wrzawą odpowiadały. Przez długi czas pozostawały kamionki na odłamie skalnym, nieustannie wrzeszcząc i zawracając głowy, ale nie w strzałowej odległości, w końcu począł mój towarzysz rękami igramem potrząsać, przyczem strącał nogą kamienie. Im dłużej się to działo, tem bardziej zbliżały się kamionki, zawsze wyszukując osobne odłamy skał, na których gęsto obok siebie stawały. Nadeszła wreszcie dla mnie pora do działania, mój pierwszy strzał położył pięć sztuk, a drugi był bezskuteczny, bo popłoszone umykały z szybkością błyskawicy po za skały. W taki sposób zabiłem w różnych miejscach w przeciągu pół dnia 15 do 20 sztuk, a raz nawet 26 kamionek“. Żywo poruszający i ciekawy ów sposób polowania mógłby też być poleconym myśliwym alpejskim, ale niestety należy tu kamionka do nader rzadkiej zwierzyny.

W końcu wspomnę jeszcze o nieznanem już u nas prawie polowaniu — z tureckimi sokołami. Niestety nie dadzą się owe łowy, przy których bywają przepiórki, krogulce, zające, kuropatwy i dzikie gęsi, przez bogatszych posiadaczy ziemi sokołami scigane, porównać z owem szlachetnem sokolnictwem, jakie było używane w średnich wiekach, a w części jeszcze aż do końca przeszłego wieku w Niemczech i w Austryi. Zamiast sokołów szlachetnego rodu na ręku pięknych i dostojnych dam, pełnią tu najpospolitsze drapieżniki najokrutniejszą usługę, a jakkolwiek istotnie barwną jest wyruszająca w tym celu turecka kawalkada na swoich dzielnych, maleńkich konikach, to nie mają jednak te łowy owego właściwego, fantastycznego uroku, jaki zachowało średniowieczne sokolnictwo.

KORESPONDENCYE.

Ostrów, Kwiecień.

Nastała zimna i brudna wiosna t. j. początek tej niby najpiękniejszej pory roku, a słonek jak nie było, tak nie ma, ostatnie nadzieje zawiodły biednych myśliwych, trzeba strzelbę na kołku zawiesić i czekać — strach pomyśleć! — całych cztery miesięcy, zanim się znowu w pole wyruszy; a co nas potem czeka, któż zdoła przewidzieć? Wszak przeciw nam myśliwym już od dawna wszystko się sprzysięgło, zwierzyna mnożyć się nie chce, w zimie zamiast ponowy mamy deszcz i odwilż, na wiosnę mrozy siarczyste duszą młode zajączki, ustawa łowiecka istnieje tylko na papierze, na serjo nikt prawie brać jej nie chce, a są tacy, którzy ją za zbyteczną jeśli już nie za wręcz szkodliwą uważają i t. d. *in dulce infinitum!* W obec takich okoliczności cóż nam myśliwym pozostaje? Nic innego, jak tylko stanąć ramię do ramienia i bronić zagrożonych pozycyj na każdym kroku, rozumie się nie inaczej, jak tylko pod sztandarem „Łowca“, który nam za przewodnika służyć i na pierwszy ogień iść powinien. Z tej to przyczyny pozwoliłem sobie dedykować szanownej Redakcyi tych kilka słów złego humoru i zawiedzionych nadziei. „Łowiec“ ma, co prawda, wielkie zasługi, które tu wyliczać za zbyteczne uważam, gdyż są one wszystkie w sercach naszych złotemi zgłoskami zapisane. Podług mego zapatrywania jednak ma on niestety i małe usterki, które, korzystając z chwilki żółciowego usposobienia, wytknąć mu postanowiłem, mianowicie jestem zdania, że w „Łowcu“ stanowczo za mało umieszcza się artykułów od Redakcyi samej, od którejbym przynajmniej artykuł wstępny odnoszący się do bieżących jak i do ważniejszych spraw dotyczących łowiectwa przy każdym pojedynczym numerze mieć pragnął. Ułatwiłoby to znacznie zadanie pp. korespondentów,

którymby artykuły te służyły za wskazówkę, w jakim kierunku korespondencye są właśnie pożądane, a tem samem zyskanoby także trochę więcej jednolitości w korespondencyach i treść tychże okazałaby się pożyteczniejszą dla sprawy. Dla młodej generacyi myśliwych stałby się „Łowiec“ nieocenionym mentorem, każdy czytelnik zaś znałby dokładnie zapatrywania szanownej Redakcyi na pojedyncze sprawy, a przez to samo wiedziałby, jakie zdanie jest słusznem czyli uzasadnionem ze stanowiska myśliwskiego. Obecnie pojawiają się czasem korespondencye w „Łowcu“, których ja w żaden sposób za wyraz opinii szanownej Redakcyi przyjąćbym nie mógł, a które przecież w nawiasie odnośnem zastrzeżeniem zaopatrzone nie są. Wspomnę tu tylko dla przykładu o korespondencyi z pod Chyrowa umieszczonej w nrze 6tym „Łowca“ z r. 1884. zakończonej słowami: „że żaden prawdziwy myśliwy nie poszczyciłby się taką wstrzemięźliwością“; nie pojmuję dobrze dlaczego właśnie prawdziwy myśliwy, ale sądzę że takiego zapatrywania „Łowiec“ w żaden sposób rozpowszechniać nie może!

Z tego co wypowiedziałem wynika już jak na dłoni, że byłoby to istną arkadyą, gdyby szanowna Redakcya za moją radą pójść chciała, a jednak nie podniosłem jeszcze najważniejszej okoliczności za mojem zdaniem przemawiającej t. j. iż w takim razie nie zamilczanoby na śmierć nie jednej dla myśliwych żywotnej kwestyi, dlatego jedynie, iż nikomu na myśl nie przyszło o niej się odezwać. Mając właśnie na myśli jedną taką żywotną dla nas kwestyą, pozwolę sobie zwrócić na nią uwagę szanownej Redakcyi. Mamy już od wielu lat krajową szkołę lasową, przy której nie ma katedry łowiectwa, a pomimo to nikt dotąd nie podniósł z pomiędzy nas głosu w tej arcyważnej sprawie. Z dwóch rzeczy jedno: albo jest to całkiem słuszne i tak być powinno, — w takim razie należy nas o tem pouczyć (do tego stopnia bowiem nie jesteśmy jeszcze postępowi), albo jest to anomalią, w takim razie trzeba krzyczeć i to aż do skutku! Co do mnie jak długo inaczej pouczonym nie będę, uważam nieistnienie katedry łowiectwa przy szkole lasowej za anomalię i dlatego zamyślam krzyczeć; bo pocóż wytwarzać ludzi niby fachowych, których nikt użyć nie może? Każdy właściciel lasu jest mniej więcej właścicielem jakiegoś myśliwstwa, jakiejś zwierzyny; komuż on ją więc odda pod opiekę, jeśli p. leśniczy pojęcia o tem nie ma i krzywem okiem na zwierzynę jak na wroga i szkodnika spoglądać będzie? Nie pozostanie nam chyba jak oddać ten inwentarz pod opiekę klucznicy, którą również dopiero *ad hoc* wytworzyć trzeba, gdyż klucznica leśna dotąd jeszcze nie istnieje nigdzie.

Kto z panów myśliwych nie miał do czynienia z takim postępowym leśnikiem, gardzącym zwierzyną (z których atoli każdy zamiast puszki do herboryzowania i sikawki ogrodowej do szprycowania roślin, nosi pomimo tego na ramieniu — nie wiem dobrze w jakim celu, pyszną dubeltówkę, na nowym jasno-żółtym rzemieniu), ten nie ma pojęcia o tem, co to za krzyż Pański, a przecież musi się o nich powiedzieć „odpuść im Panie gdyż nie wiedzą co czynią“, tak bowiem chciała szkoła lasowa. Nie wyobrażam sobie leśnika niemyśliwego, jak nie umiem wyobrazić sobie lasu bez zwierzyny lub gospodarstwa rolnego bez inwentarza, dlatego też nie mogę pojąć szkoły lasowej bez nauki o łowiectwie, jak i szkoły rolniczej bez nauki o chowie i żywieniu inwentarza. Bo nacóżby się przydać mógł rolnik umiejący najracyonalniej uprawiać rolę, któryby nie wiedział równocześnie, jak inwentarz żywić i pielęgnować, a chciał koniecznie woły i konie robocze pieczonymi kartoflami lub herbatą karmić? Zresztą jednostronność taka w nauce rodzi wiele złego, gdyż stwarza pojęcia zupełnie błędne. Wszak niedawno czytałem, iż w gronie bardzo poważnych ludzi fachowych podnoszono myśl, zupełnie na seryo czy nie należałoby tępić zwierzyny dla ochrony kultur?! Ależ Panowie, przez miłosierdzie Boskie, wszak to kwestya już dawno rozstrzygnięta. Zwierzyna pożyteczna nazywa się tak właśnie dla tego, że jest rzeczywiście pożyteczną, — o tępieniu więc tejże mowy być nie może. Obliczcie tylko kiedy i jakie dochody z kultur waszych powstaną, a jakie dochody racyonalna hodowla zwierzyny dać może, a będziecie mieli kwestyę zupełnie wyjaśnioną. Toż za tą wskazówką idąc musiałby także rolnik swoje inwentarze wydusić, aby mu nie zjadały trawy, siana, słomy, plewy a czasem nawet i trochę ziarna! Zresztą czyż jedno drugiemu przeszkadza rzeczywiście? Ja nie sądzę. Nauczcie się tylko kochać zwierzynę i pamiętać o niej, a przekonacie się, iż ona wdzięczną się okaże i pozostawi w zupełnym spokoju wasze kultury tak, jak moje dotąd zawsze w spokoju pozostawiała. Nie chcę twierdzić tego, czego udowodnić nie jestem w możności; przypuszczam więc nawet, iż są miejscowości, gdzie gleba nad pojęcie żyźna tak smaczne i soczyste produkuje roślinki drzewne, że zwierzyna z łakomstwa ogryzać je będzie. Przekonany jednak jestem, iż miejscowości takie tylko do wyjątków należą, sam bowiem posiadam lasy w rozmaitych okolicach kraju, wszędzie mam kultury sosnowe, świerkowe, modrzewiowe, a nawet akacyowe i wszędzie dość dobry zwierzostan; nie zauważyłem jednak nigdy i nigdzie uwagi godnych szkód przez zwierzynę w kulturach zrządzonych; przeciwnie zwierzyna moja tyle dla mnie okazuje względów, iż sarny dostawszy się nawet w czasie zwalistych śniegów do wnętrza szkółek leśnych, pozostawiały w spokoju najmłodsze roślinki tamże się znajdujące. Rozumie się jednak, że trzeba zwierzynie dać jeść, powietrzem przecież żyć ona nie może! Karma, którą damy zwierzynie, zawsze jeszcze nierównie mniej kosztować będzie, jak rozmaite płyny, którymi nasze kultury szprycować i smarować mamy dla ochrony tychże przed żarłocznością zwierza. Skutek będzie niezawodnie pewniejszy, gdyż 90% uszkodzenia kultur przez zwierzynę należy przypisać tej prostej przyczynie, że zwierzyna głód cierpi.

Dla mnie wypływa z tego wszystkiego ten sens moralny, iż obecnie hasłem naszem być powinno: „Katedra łowiectwa przy krajowej szkole lasowej“.

Władysław hr. Baworowski.

P. R. Z wdzięcznością szczerą przyjmujemy zawsze wszelkie wskazówki, które nam rozjaśniają drogi, jakiemi w pracy naszej redakcyjnej postępować powinniśmy, słuszne przeto uwagi pozostawiają po sobie niezatarty ślad w formie czy treści Pisma naszego. Szczerą podziękę składamy też sz. Korespondentowi za gorącą odezwę, której zacną intencyę uznajemy — ale słuszności przyznać jej nie możemy. Ktokolwiek z sz. członków gal. Tow. łow. gorliwie zawsze interesował się myśliwstwem krajowem, zwłaszcza od czasu istnienia centralnego Towarzystwa łowieckiego i jego Organu, kto uważnie śledził bieg czynności tegoż Towarzystwa i ośmioletnie działanie redakcyi „Łowca“; ten pewnie przyzna, że obecnie Ustawa łowiecka nie istnieje tylko na papierze, jak twierdzi sz. Korespondent, lecz jest ściśle wykonywaną conajmniej przez 500 członków Towarzystwa, rozproszonych po całym kraju, i przez nich strzeżoną w obec tych, którzy prawu podlegać nie chcą. Nie mała to już zdobycz, a z czasem, gdy jak w każdym innym kierunku, tak i w myśliwstwie rozwiną się u nas zdrowe pojęcia, dojdziemy do pomyślniejszych jeszcze rezultatów. *Paulatim summa petuntur!* Zwróćmy się teraz do zarzutów poczynionych redakcyi „Łowca“. Zarzuty te każą nam wnosić, że sz. Korespondent nie wszyst-

kich roczników „Łowca“ zna treść dokładnie, lub że treść ich nie pozostała w pamięci jego. Chętny czytelnik tego Pisma musi przyznać, iż, ile nam się zdaje, niema kwestyi z zakresu teoretycznego czy praktycznego myśliwstwa, którejby ono bądź w wstępnych artykułach czyto noworocznych, czy poświęconych pewnemu przedmiotowi; bądź też w opracowaniach mniejszych lub większych rozmiarów, uwagi swojej nie poświęciło. Czy sz Korespondent sądzi, iż w naszem Piśmie artykuły wstępne przy każdym numerze, omawiające kwestye myśliwskie, są możliwe? Gdyśmy rozpoczynali wydawnictwo „Łowca“, uważaliśmy za obowiązek nasz zwracać uwagę na kwestye żywotne, dotyczące myśliwstwa krajowego, nie brakło przeto artykułów wstępnych; później gdy sprawa ta naturalnym tokiem rzeczy sama się rozwijała, potrzeba takich artykułów stała się zbędną, a należało tylko sumarycznie zdawać sprawę z jej biegu, co też w artykułach noworocznych czyniliśmy. Z tego to powodu nie znajdujemy wstępnych artykułów w żadnym z Pism myśliwskich zagranicznych! Takie artykuły, gdyby były koniecznie wymagane, dałyby powód do niepotrzebnej często polemiki i musiałyby się wreszcie stać jałowymi, a przez to podkopać powagę i znaczenie Pisma, które stoi może nieco zasługą Redakcyi, ale bardziej współpracownictwem gorliwych jego protektorów. Być może, iż nie zawsze umieszczamy dopiski pod artykułami, na których treść czy to w całości czy w ustępach godzić się nie możemy, czynimy to wszakże z rozmysłem, zwłaszcza przy artykułach podpisanych przez autorów, aby wywołać opozycyę u czytelników, a tem samem ruch i życie w „Łowcu“. Co do przywiedzionego przez sz. Korespondenta jako dowód przykładu, to musimy z całą stanowczością twierdzić, iż nie jest on trafnym, bo jest to naszem przekonaniem, że prawdziwy myśliwy nie zdoła się powstrzymać od strzału do nadciągającej słonki nawet na obcem terytoryum. Sądzi w końcu sz. Korespondent, że on pierwszy obecnie porusza sprawę obsadzenia katedry nauki łowiectwa przy szkole lwowskiej gospodarstwa lasowego i czyni z tego powodu cierpkie Redakcyi wyrzuty. Z niemałem zdziwieniem przyjęliśmy ów wyrzut. Wszakże jeszcze w r. 1882. podnieśliśmy tę sprawę z naciskiem w artykule p. Hostońskiego p. t.: „O potrzebie połączenia leśnictwa z łowiectwem“ („Łowiec“ nr. 2. str. 21.). Odtąd pojawia się ta kwestya na posiedzeniach Walnego Zgromadzenia gal. Tow. łow. jakoteż Wydziału jego, jak świadczą sprawozdania, umieszczane w „Łowcu“, oraz w artykułach wstępnych noworocznych i innych. Jedynie brak ukwalifikowanego kandydata jest powodem nieobsadzenia tej katedry. Możemy zapewnić, że nie spuścimy tej ważnej sprawy z uwagi naszej, a sz. Korespondenta prosimy, by przeglądnąwszy ostatnie roczniki „Łowca“ zarzut uczyniony nam cofnął. — Wiemy bardzo dobrze, że nieomylność nie jest naszą cnotą, tylokrotnie prosiliśmy sz. czytelników o uwagi i sprostowania naszych błędów, ale muszą one być słuszne, w takim razie bardzo chętnie je przyjmiemy, i staną się one dla nas nauką i dyrektywą w dalszem działaniu.

Rożanka (gub. Siedlecka) 17. Maja.

Praca p. A. Reichardta, umieszczona w 3. nrze „Łowca“, charakteryzująca „pointera“, nie dosyć jest dokładną, postanowiłem przeto uzupełnić ją memi uwagami, wziętemi z własnego doświadczenia. Wiadomo każdemu myśliwemu, jak ważną rolę odgrywają psy na polowaniach, więc kwestya ta jest nader ważną. Pan Reichardt charakteryzując pointera, wyrządza nie małą krzywdę, odmawiając mu uzdolnienia do polowania na zająca i kszyki, ponieważ pierwszego niechętnie aportuje, a na polowaniu błotnem wolno chodzić nie umie. Muszę temu twierdzeniu stanowczo zaprzeczyć i z niego wnoszę, że p. Reichardt mało z pointerami polował lub też z źle ułożonymi. Każdy dobrze dresowany pointer równie chętnie aportuje zająca, lisa, kuropatwę, dubelta a nawet jeża. Jako dowód wymienić mogę mego pointera „Tella“, który zawsze wszelką wyżej wymienioną zwierzynę skwapliwie mi przynosi. Dostatecznie wiadomo, jakie usługi oddaje pointer przy polowaniu na zająca w jesieni na wydeptanego. Znana to rzecz, że im pies szybciej w polu chodzi, tem twardziej dosiaduje i pewniej wytrzymuje szarak w kotlinie. Dobry pointer powinien każdego w kotlinie wystawić, a myśliwy strzela albo do wymykającego lub siedzącego w niej. Z tego wynika, że wyżły innej rasy lepszych usług przy polowaniu na zające nie oddają, i że zarzut przez p. Reichardta uczyniony pointerom jest niesłusznym.

Jakżeż zachowuje się pointer na polowaniu błotnem? Nie widziałem nigdy lepszych psów na takiem polowaniu, jak pointer. Pies do każdego rodzaju zwierzyny potrzebuje wprawy; bardzo rzadko się zdarza, iżby pies układany na kuropatwach, odrazu równie dobrze wystawiał kszyki. Sam tego często doświadczałem, mianowicie iż psy w pierwszem polu wystawiały wybornie kuropatwy, a na błotach wcale kszyka nie wietrzyły, chociaż zrywał się im z pod nosa. Wiadomo, że odwiatr kuropatwy i kszyka są różne, dopóki ich pies nie pozna, zwierzyny nie wystawi. Pies prześladujący zwykle kuropatwy szuka ich też na błotach, więc kszyk go nie zatrzyma; gdy wszakże się przekona, że pan jego do kszyków strzela i każe mu je aportować, wnet pozna się z tą zwierzyną, szuka ją i wystawia. Zapewniam przeto p. Reichardta, że jego pies, choćby najgoręciej chodził za kuropatwami, gdy przez kilka dni użytym będzie na kszyki, wkrótce wystawiać je będzie i aportować najostrożniej, wyszuka je równie chętnie jak kuropatwy. Doświadczyłem tego na psach własnych, a obok tego polując raz z pewnym anglikiem, podziwiałem jego pointerkę, która przy polowaniu na kuropatwy, biorąc jak najdalsze pole, uganiała jak błyskawica, a gdyśmy weszli na błota, chodziła ostrożnie i wystawiała każdego kszyka tak wybornie, jak nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć. Równie dobrego pointera widziałem u obywatela ziemskiego p. Wład. Kuszla w Zeliszewie. Niepodobna przeto pointerom odmawiać uzdolnienia do polowania błotnego, owszem każdego, posiadającego dobry wiatr, starannie ułożonego, można z najlepszym skutkiem użyć na błotach.

Krajem, z którego pierwotnie pointer pochodzi, nie jest, jak mylnie p. Reichardt mniema, Anglia, lecz Hiszpania. W XIV. wieku sprowadzili go anglicy ztamtąd do siebie, we Francyi wspomina Gaston Phoebus (1331 — 1391) o *chien d'oysel (d'oiseau)*, jako o wyżle hiszpańskim, a do Niemiec sprowadzono pierwszego w czasach Karola V. Wszystkie pointery angielskie, bluthundy Kuby, gładkie braques d'arrêt Francyi, jakoteż wyżły niemieckie pochodzą z Hiszpanii. Pointery hiszpańskie odznaczały się dobrym wiatrem, pewnem wystawianiem i wolnem szukaniem, które zalety bardzo były pożądane dla ówczesnego łowiectwa i systemu strzelb. Niemcom szczególnie bardzo się hiszpański pointer podobał z powodu flegmatyczności swojej. Przez krzyżowanie wyrodziły się rozmaite typy pointerów. Niemcy krzyżowali ich z gończymi i wychowali odrębną rasę, anglicy zaś z rozmaitymi psami ich kraju, gdy wszakże postęp w ulepszeniu broni i odbywanie polowań konno, wymagały psów bardziej rączo szukających i wytrwalszych, poczęli anglicy krzyżować hiszpańskiego pointera z swoim foxhoundem. Wiadomo, że psy te odznaczały się wybornym wiatrem, szybkością i wytrwałością w szukaniu. Głównem zadaniem było krzyżowania przenieść zalety hiszpańskiego pointera na foxhounda, mianowicie dobry wiatr, chociaż ostatni z natury już nim obdarzony, głównie zaś pewne wystawianie zwierzyny. Wymagało to wiele zabiegów, czasu i pieniędzy. Wsławił się w tym względzie Mr. Edge of Strelly-Hall. Sprowadził pointery najczystszej rasy z Hiszpanii i wyszukiwał w kraju ojczystym najsławniejsze foxhundy, płacąc za pierwsze i drugie nieraz bajeczne sumy. Przy krzyżowaniu szczególnie

baczył, aby tylko zupełnie zdrowe indiwidua przypuszczać do rozpłodu. Przez rozmaite próby i doświadczenia wywiódł z krzyżowania najlepsze i najsławniejsze pointery. Z psiarni jego za żadną cenę psów nie sprzedawano, chyba że udało się psiarczykowi wykraść i sprzedać szczeniaka. Gdy psy jego nabierały sławy, a nabyć ich nie można było, poszli lordowie Derby, Sefton, Lichtfield i inni w ślady Mr. Edge. Umarł on w r. 1843., jego pointery nabył książę Portlandu, gorsze lordowie Derby i Sefton, za bajeczne sumy. Z psów tych ani jeden nie dostał się do innych krajów. Sprowadzane do Niemiec i do innych krajów psy pod nazwiskiem pointerów z Anglii, są podrzędniejsze i częstokroć gorsze od krajowych.

W charakterystyce pointera dopuszcza się p. Reichardt błędu, iż opisuje ogon przy osadzie silny, gruby, bez zgięcia w przydłużeniu linii grzbietowej. Opis ten jest istotnie cechą pierwotnego pointera hiszpańskiego, ale nie dzisiejszego pointera angielskiego. Mogą one mieć ogon wygięty w formie sierpa i będą więcej zbliżone do rasy czystej, jak te, które mają ogon opisany przez p. R., gdyż foxhoundy angielskie, z których dzisiejsze pointery angielskie się wytworzyły, noszą ogony w formie sierpa. Źleby uczynił, ktoby potępiał wszystkie psy, ogonem nieodpowiadające charakterystyce p. Reichardta,

Tyle o pointerze, wkrótce podam wiadomość o setterach. jamnikach i o ich układaniu. Ktoby o pochodzeniu pointera miał bardziej wyczerpującą wiadomość, niech ją w „Łowcu" ogłosi.

Wiktor Szostak
nadleśniczy.

K R O N I K A.

Posiedzenie Wydziału Tow. łow. z d. 12. Maja 1885. Przewodniczący Dr. M. Gnoiński. Obecni członkowie: Glanz Józef, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward.

1. Dr. Rieger odczytuje list Tow. łow. niższo- i wyższo-austryackiego z d. 30. Kwietnia b. r., zapraszający do udziału w kongresie myśliwskim, odbyć się mającym w Wiedniu od 19. do 23. Maja i wymienienie delegata gal. Tow. łow.

2. Dr. Rieger odczytuje przygotowane na ten kongres trzy przedłożenia, mianowicie: *a)* wniosek regulaminu obrad i statutu, *b)* wniosek założenia zbiorowego, centralnego organu Towarzystw łowieckich, *c)* wnioski reformy ustaw łowieckich.

Wynikiem przeprowadzonej dyskusyi było, iż owe przedłożenia tak różne są od stosunków gospodarskich, łowieckich i topograficznych naszego kraju, że uchwalenie takowych nie tylko żadnych nie przyniosłoby krajowi korzyści, ale raczej szkodę naszym posiadaczom praw polowania.

W obec tego uchwala Wydział:

a) Nie wysyłać delegata na Kongres Wiedeński.

b) Wystosować do Tow. niższo-austryackiego pismo umotywowane, którem się odmawia udziału w Kongresie, treści następującej: „Do Szanownego Prezydyum niższo- i wyższo-austryackich Towarzystw w Wiedniu. W odpowiedzi na sz. pismo z d. 30. Kwietnia b. r. Wydział gal. Tow. łow. ma zaszczyt oświadczyć, że różność stosunków topograficznych i łowiecko-gospodarczych naszego kraju, w porównaniu z innymi krajami koronnymi monarchii, nie pozwala naszemu Towarzystwu brać udziału w Kongresie, wyznaczonym na 19. Maja b. r. i przyczynić się do uchwał, jakie na podstawie przedłożonych wniosków zapaść by mogły".

Na tem zamknięto posiedzenie.

W Gorajcu 27. Kwietnia.

Przedwczoraj zabiłem na toku cietrzewia. Donoszę też, że wraz z ks. Wład. Sapiehą skonstatowaliśmy znaczną ilość głuszców w lasach Rudy Rożanieckiej p. barona J. Brunickiego. Na przestrzeni nie większej jak 60 morgów słyszeliśmy wieczorem 7 zapadających głuszców, z których jednego udało mi się podskoczyć, ale nie wyczekawszy, aż się rozwidni, strzeliłem i postrzeliłem tylko, a pomimo najstaranniejszych poszukiwań nie mogłem go w gąszczach znaleść. Niecierpliwość moją usprawiedliwiam tem, iż to był pierwszy głuszec, którego widziałem i słyszałem. Ks. Sapieha nie strzelał, bo po moim strzale siedzący przed nim uleciał. Po kilku dniach byliśmy po raz drugi, lecz z niewiadomej przyczyny głuszce wcale nie grały, widzieliśmy tylko kilka przelatujących za kurami, których ja sam narachowałem 9. Jak tedy liczby wykazują, jest ich tu dość, ale tylko w lesie wyżej wymienionym. Co do cietrzewi, jest ich tego roku bardzo wiele tak, że polując na nie od lat 10, nie zdarzyło mi się widzieć ich nawet połowy tegorocznej liczby.

Edward Münter.

Zwracamy uwagę na doświadczonej skuteczności przeciw wściekliźnie pastylki A. Patkiewicza w Brodach. Osobne są dla zwierząt, inne dla ludzi. Wyraża się on o nich w liście następującemi słowy: „Moje pastylki w suchem miejscu przechowane, mogą przez długie lata się konserwować, nie tracąc swej siły leczniczej. Sposób użycia u ludzi. Z rana naczczo daje się ukąszonemu trzy pastylki w porządku oznaczonym, w odstępach czasu 10 minut. Stanowią one całą kuracyę. Rany obmywa się wodą, w której siekana cebula mokła. Skutek niezawodny. Gdyby pokąsany nie chciał spożyć pastylki, wtedy można ją rozetrzeć i dać w pokarmie. Lat przeszło 50 używam tego leku z najlepszym skutkiem i nigdy nie doznałem zawodu".

Biała pod Tyczynem.

Z sąsiedniej bażantarni jeden kogut bażanci upodobał sobie nasze podwórze i od trzech lat zamieszkał razem z kurami, na noc tylko odlatując i to nie daleko, bo zwykle sypiał w krzakach w ogrodzie. W ogóle nie cieszył się sympatyą drobiu, bo choć mniejszy wzrostem, mocniejszym był od kogutów, przytem zaczepnego usposobienia. Z każdym z nich bójkę wszczynał i niejednego dobrze pokaleczył, a co najmniej sporo piór mu wydarł — ale znoszono intruza. Tego roku bażant ów stary istnym stał się śledziennikiem, nikomu nie przepuszczał. ptasie wojny były coraz gęstsze i krwawsze, nawet do gęsi i indyków się zabierał, a nie mogąc im w otwartej walce sprostać, uciekał się do fortelu i pobijał je w ten sposób, że z wysokości dachu lub drzewa spadał na plecy jendorowi, który opadnięty z nienacka nie był w stanie się obronić. Wreszcie wybiła godzina zemsty. Całą jedną noc musiały ptaki nad nią radzić, bo gdy rano bażant przyszedł jak zwykle na dziedziniec i nie przeczuwając nic złego wszedł do kurnika, cały drób tam jeszcze zgromadzony rzucił się na niego i to tak prędko, że bażant furknąć nie zdołał, indyk siadł na nim przytrzymując delikwenta, a wszystkie kury, kapłony, koguty dziobały go wściekle, wydzierały pióra z głowy i ogona, krzycząc przytem tak głośno, że zdziwieni tym hałasem ludzie folwarczni przybiegli oglądać co się dzieje i ledwie odbili napół żywego bażanta. Biedny ptak miał wyrwane trzy najpiękniejsze, długie pióra z ogona, plecy oskubane, głowę w jednem miejscu zakrwawioną, po chwili jednak przyszedł do przytomności i furknął w ogród, gdzie się przed okiem ludzkiem i mściwym kogucim dziobem kryje. Cztery dni upłynęły od tego wypadku, bażant rzadziej pokazuje się między kurami, gdy ich dużo razem siedzi na jednem miejscu, widocznie się boi i unika liczniejszego zebrania, lecz spotkawszy kurę pojedynczą, wywiera złość swą na niej. Z oskubanych piór porobili sobie furmani kity do kapeluszów, długie zaś z ogona pozatykałem na pamiątkę na moje strzelby, długość każdego wynosi 40 cm.

J.

Szydłowce 6. Maja.

Jakkolwiek przyznaję panu G. Głuchowskiemu, że na podstawie tego singeltona śrótowego mógł mnie interpelować o strzał, którym

byłem i jestem zachwycony; to jednak trudno mi uwierzyć, aby pan Głuchowski miał mnie za tak naiwnego myśliwego, który cieszy się doskonałością strzelby, uderzającej z odległości 25 kroków tylko jednym śrótem w tak pokaźny cel, jakim jest postać starego wilka. Mnie się zdaje, że w artykule pana G. więcej przebija się osobiste uprzedzenie, w ogóle do systemu Teschnera, jak możliwość przypuszczenia, że Teschnerówka potrafi z odległości 25 kroków tylko jednym śrótem uderzyć w centrum. Śrót jeden, który się istotnie znalazł w samem sercu wilka, nie był jedynym trafnym; przeciwnie, całe oba naboje, mój i kucharza, utkwiły w wilku. Jeden nabój uczynił ogromne spustoszenie w płucach, i z tego naboju prawdopodobnie jeden śrót dostał się do serca. Drugi nabój także dobry, ale o wiele słabszy, był w boku i poraził wnętrzności. Dla czego w opisie moim „zdarzenie z wilkiem“ pominięto te kwestye, lub też czy ja sam w mojej korespondencyi je pominąłem (tak istotnie się stało. P. R.), tego dziś nie wiem i nie pamiętam. Że o tym jednym śrócie wspomniałem, to tylko z tego powodu, ponieważ uważałem to jako wielką siłę uderzenia Teschnerówki, iż jednem ziarneczkiem kaczego śrótu potrafiła, choćby z odległości 25 kroków, przebić zimowe kudły, skórę, płuca i aż do serca dosięgnąć. Oddaję szerszemu kołu myśliwych fakt ten do osądzenia. Sprawdzono po różnicy śrótu, że strzał w płucach pochodził z Teschnerówki, jednakowoż i strzał kucharza był śmiertelny, bo sądzę, że z porozrywanemi wnętrznościami wilk nie długo by chodził, i prawdopodobnie przepadłaby dla mnie wspaniała zdobycz. Chociaż jestem jednego zdania z panem G., iż każdy system ma swe dobre i złe strony i nie narzucam nikomu mego przekonania; to jednak stoję przy tem uparcie, że system Teschnera pod względem siły uderzenia wyższym jest od innych systemów. Ponieważ pan G. radby moją Teschnerówkę widzieć przerobioną na kłódki, i przy tej sposobności działanie skromnej Lankastrówki zachwala, radziłbym ową skromną Lankastrówkę, przeszywającą nawskróś kozła 5 śrótami z odległości 130 kroków, posłać do jakiego muzeum myśliwskiego, jako rzadki w swoim rodzaju unikat piorunującej siły. Wystawiam sobie, coby to paradna Lankastrówka zrobiła z kozłem, pewnieby go w puch rozniesła na podwójną ilość kroków. Moja dobra Teschnerówka nie pochwali się tem niestety. Wyjaśniwszy w ten sposób całą sprawę, wstawiam się usilnie za moją Teschnerówką, upraszając pana Głuchowskiego, aky raczył łaskawszem okiem badać jej zalety, a ja natomiast przyrzekam unikać ile możności rozpraw o dalekonośnych strzałach innych systemów broni myśliwskiej, protegowanych przez pana Głuchowskiego.

Antoni Walewski.

Zulin 8. Maja.

Czytając w ostatnim numerze „Łowca“ uwagi p. hr. Leopolda Starzeńskiego, dotyczące ochrony zająca, pozwalam sobie jako od lat 55 zamiłowany w myśliwstwie, dołączyć z własnego doświadczenia poparcie zdania, wypowiedzianego przez p. hrabiego. Gdy jako młodzieniec, rwałem się do strzelby, wskazywali mi ówcześni wytrawni myśliwi prócz innych reguł także i tę, że zająca po św. Michale (29. Września) można już strzelać i łowić. Tej też reguły ściśle się zawsze trzymałem, nie doświadczywszy przez lat dziesiątek wyjątku od niej. Ale raz, będzie temu lat około 40, polując z psami gończymi w drugiej połowie października, ubiłem zająca. Jakież było moje zdziwienie, gdy w tej ubitej samicy znalazłem, niepamiętam już, jaką ilość nieporośniętych jeszcze młodych. Fakt ten tak mi utkwił w pamięci, że dziś jeszcze przybywszy na to miejsce popełnionego mimowolnie barbarzyństwa, w całej swej grozie mi się przypomina. Nie przypuszczając, iżby teraz przyroda zmieniła okres płodności zajęczej, przytaczam ów fakt jako przyczynek do zdania hr. Starzeńskiego, i oddaję go pod rozwagę braci myśliwych, w celu określenia czasu ochrony zająca. *W. Chmurowicz.*

W niektórych okolicach naszego kraju, używaną jest jako lekarstwo przeciw wściekliźnie roślina jastrzębież, którą zbierać należy tylko wtedy, kiedy na roślinie jest tylko jeden kwiatek. Roślinę tę wyrywa się wraz z łodygą, wysusza, trze na proszek i daje pacyentom w gałkach z mięsa. Wiedząc o tym sposobie hr. A. P. napisał do Pasteura z zapytaniem co sądzi o tym środku. Pasteur odpisał natychmiast oświadczając, że nie wierzy w skuteczność tej rośliny, ale że niema nic niepodobnego na świecie, prosi o przysłanie proszku, przeznaczając 50 fr. na koszta zbierania i wysyłki, przyrzekając zrobić doświadczenie. Proszek naturalnie został wysłany bez wszelkich kosztów. Ciekawy będzie rezultat przedsięwziętych badań przez znakomitego uczonego, o których w swoim czasie postaramy się czytelników zawiadomić.

Koresp. Płocki.

Niezawodny środek przeciw wściekliźnie praktykowany na Litwie. W 1837. roku szlachcic powiatu Lidzkiego, Kozłowski, w podróży zimowej do Wilna pod Solecznikami, pokąsany został przez wściekłego wilka, a z nim sześciu włościan wiozących pszenicę. A że to było w czasie, gdy była w Wilnie akademia medyczna, więc chłopów oddano na kuracyę do kliniki akademickiej, Kozłowski zaś wróciwszy do domu, udał się niezwłocznie do znajomego w Nowogrodzkim powiecie lekarza od wścieklizny, komornika Truskowskiego, odbył szczęśliwie kuracyę i prawdopodobnie dotąd żyje. Włościanie zaś wszyscy sześciu pomarli.

Wypadek ten wielkie na Litwie zrobił wrażenie. Władze rządowe zajęły się nim gorąco, wojenny gubernator Dołhorukow kazał stawić się do Wilna Truskowskiemu i przedstawić akademii lekarstwo, jakiego używał. Gremium profesorów przyjęło to do wiadomości — i na tem się rzecz w zakresie urzędowo-akademicznym skończyła. Rozgłos jednak tym wypadkiem spowodowany, obiegł wielką część Litwy i odtąd gdziekolwiek wiedziano o tym zbawczym środku i gdzie go tylko użyto, nigdzie nie zaszedł wypadek tej strasznej choroby.

Środkiem tym jest roślina, zwana „Jastrzębiec kosmaty“ *(Heratium Pilossela).*

Rośnie przeważnie w miejscach jałowych, suchych, na gruntach piaszczystych lekkich, na wzgórzach; liście jego ścielą się płasko na ziemi, kolor mają światło-szarawo-zielony; odwrotną stroną kosmatą, jakby włosem pokrytą (pillosca), kwiat na jednej prostej kilkocalowej łodydze żółty.

Ankieta rybacka. Dnia 15. Maja odbyła zwołana przez Wydział krajowy ankieta rybacka pierwsze posiedzenie pod przewodnictwem członka Wydziału krajowego dra Wereszczyńskiego. Kwestyonarz przedłożony ankiecie obejmuje następnych 7 punktów, co do których pozostawia ustawa państwowa decyzyę ustawodawstwu krajowemu:

1. Oznaczyć, komu przysługuje prawo rybołowstwa w wodach naturalnych (§. 1. ust. p.); 2. oznaczyć wysokość wynagrodzenia, jakie rybacy z zawodu, o ile takowi przez zniesienie dzikiego rybołowstwa ponieśli uszczerbek, mają prawo żądać od tych, którym przyznano prawo rybołowstwa na wodach przedtem wolnych (§. 2); 3. oznaczyć, czy ewentualnie w jakich wypadkach musi woda wydzierżawioną być na rzecz uprawnionych do rybołowstwa, a czynsz pomiędzy nich rozdzielanym (§. 3.); 4. oznaczyć, kto rozstrzyga w sprawie kosztów i wynagrodzeń (czy władza polityczna?) §. 4.; 5. Określić szczegółowo pretensye, jakie rościć mogą uprawnieni do rybołowstwa wobec używania wód na inne cele (gospodarcze i przemysłowe) §. 7.; 6. oznaczyć, czy ewentualnie i jak mają być utworzone rewiry wodne, tudzież czy ewentualnie w jakich wypadkach ma nastąpić wykup prawa rybołowstwa §. 8.; 7. jeżeli ustawa ma mieć zastosowanie także do innych zwierząt wodnych, oznaczyć zwierzęta powyższe (§. 9.).

Całe pierwsze posiedzenie wypełniły rozprawy nad bezsprzecznie najważniejszym punktem 1szym, do którego postawiono 3 wnioski, mianowicie ażeby przyznać prawo rybołowstwa na wodach naturalnych: 1. krajowi (Orlecki Zatorski); 2. na wodach niespławnych właścicielom brzegów, na rzekach zaś spławnych krajowi (Zoll); 3. gminom i obszarom dworskim przyległym do tych wód w miarę długości brzegów (Bobrzyński). Po długiej i wyczerpującej dyskusyi przyjęto znaczną większością, bo 7 (przeciw 2) głosami, należycie umotywowany wniosek profesora Bobrzyńskiego, z tym zarazem dodatkiem, że prawo rybołowstwa ma być wykonywanem bezpośrednio przez właścicieli, lecz ma zostawać pod administracyą kraju, i przez kraj być wydzierżawianem, a dopiero dochód z rybołowstwa ma być rozdzielanym między właścicieli w poszczególnych rewirach, według długości brzegów.

O Rybactwie. („Jagiełło i Jadwiga“) Karola Szajnochy. Rybołówstwo było codziennym trybem życia. Częste a długie posty, jakoteż wodne bezleśne okolice zawdzięczały mu jedyne swoje pożywienie. Liczne ładowne wozy z rybami rozchodziły się każdodziennie z nad wybrzeży „wielkiego jeziora“, dostarczając całej okolicy obfitego, zbytecznego pokarmu. Zamożniejsze strumienie, oprócz znanych rodzajów ryb, wydawały jeszcze jakieś zapomniane w dzisiejszej mowie powszedniej lipnie, berzany, ukleje, kleszcze, sielawy i tyle. Napływające z morza łososie, jesiotry, czeczugi, przeskakiwały (łazy) jazy, aby wpaść w matnię. Na wybrzeżach gdańskich poławiano do czasów króla Łokietka śledzie. Toż na wielką stopę wiedziono „myśliwstwo rybne“. Szerokie płoty o pozostawionej w pośrodku bramie dla czółen, żelazne haki czyli „grodze“, jazy, przegradzały koryta rzek. Dla wydobycia bogatego połowu z jezior, przyprzęgano konie do włóków. Żadna pora roku nie była przeszkodą

rybakowi. Owszem im sroższa zima, tem dłużej, bo od wszystkich SŚ. aż do końca Marca, trwała ulubiona łówka po lodzie. Osobnej klasie rybaków odpowiadała osobna klasa tkaczów rybackich, włóczków, a przewodniczył u dworu książęcego osobny „mistrz rybołówstwa". W ich ręku widzimy najrozmaitsze rodzaje broni rybackiej, włóki, wędki, więcierze, potrestnice, słabnice, wiersze, zabrodnie, niewody, żaki. A ileż to różnych sposobów używania tej broni! Każdej wsi dziedzic, zastrzegając sobie samemu główny połów dużemi włokami i handel rybny, dozwalał swoim osadnikom pod rozmaitemi warunkami rybołówstwa dla własnego użytku.

Tam sołtys na mocy pańskiego pozwolenia w „łódce" na samym środku jeziora zarzucał wędę, a kmiecie u brzegów „brodząc" łowili. Owdzie zmyślny „wieśnica" omijając zakaz łowienia w łódce, płynął na środek jeziora i dawnym słowiańskim obyczajem, leżąc na wodzie zapuszczał niewód. Czemu zapobiegając, obwarowywano się gdzieindziej wyraźną formułą: „wolno łowić, tylko na nogach stojąc" i łączono z tem warunek używania wędki tylko w dnie pewne. Swobodny rybak dorabiał się majątku i jak owi jego druhowie w gościnie u burgrabi złotoryskiego, pijał za pan brat z starostami. Mnogie wreszcie dzieła o rybołówstwie poświadczają jego ważność w latach dawniejszych.

Łowy trzech cesarzów w Skierniewicach. Sądzę, iż zainteresuję czytelników opisem łowów w Skierniewicach i Libochni podczas zjazdu trzech cesarzów, jakoteż łowów dworskich w czasie pobytu tamże cesarza rosyjskiego. Naprzód rzucę szkic okolicy Skierniewic, gdzie mój syn jako ces. bażantarnik i kierownik łowów funkcyonuje. Skierniewice jest niepokaźnem, małem miasteczkiem z kamiennym brukiem, domy przeważnie drewniane. Po wsiach też chaty z drzewa, które się dają rozebrać, widziałem też, że pewien wieśniak rozebrał swoją chatę. i przeniósł ją w pobliże swego gruntu. Wsie mają także bruk kamienny, drogi są szerokie i starannie utrzymane, a do ich konserwacyi używany bywa szuter kamienny. Okolica Skierniewic jest przeważnie pagórkowatą, gleba mniejwięcej piaszczysto-gliniasta, podkład szutrowaty, gdzieniegdzie sterczą bryły kamieni i szczyty skał. Dojrzewają tu żyto, jęczmień, owies i kartofle, w ogrodach widziałem owoce strączkowe, jarzyny i drzewa owocowe. W skromnym stylu zbudowany zamek, stoi w wspaniale założonym parku z prześlicznemi partyami i kilkoma bogato zarybionymi stawami. Klimat jest więcej łagodny, jak surowy. Od zamku wiedzie szutrowana droga, do ćwierć mili odległego, murem lub sztachetami otoczonego, na 1000 morgów rozległego cesarskiego zwierzyńca, przeciętego potokiem, w którym znajduje się 600 sztuk danieli i 100 sztuk jeleni. Ogromne łąki z soczystemi trawami, na których stada danieli, złożone z 80 do 100 sztuk przeciągają lub leżą, ożywione są nimi. Gdzieniegdzie też spostrzedz można leżące w cieniu jelenie z potężnymi wieńcami. W środku zwierzyńca znajduje się wielki, rybny staw, a u stóp jego urządzony na przyjęcie dostojnych gości parterowy dom. Dozór nad zwierzyńcem powierzony trzem strzelcom, których domki położone są u bram wstępnych, gdzie też jest mieszkanie komisarza leśnictwa. Podczas śnieżnych zim wydarza się, że nawidzają zwierzyniec wilki. Ze zwierzyńca dojeżdża się po dobrej, szerokiej drodze w godzinę do założonej w parku cesarskiej bażantarni. Wylęgarnia jakoteż opalana izba dla hodowania bażantów, również łąki i przez całą bażantarnię wijący się potok, odpowiadają najzupełniej celowi. Po za zwierzyńcem i bażantarnią znajdują się ogromne remizy. Prócz domu bażantarnika stoją przy obu bramach wjazdowych mieszkania dwóch strzelców, dozorców bażantarni i kierowników polowań polowych. Polowania gminne wydzierżawiono dopiero od kilku lat w okolicy Skierniewic, gdzie napuszczono zające i kuropatwy, również dopiero w r. 1884. urządzono łowiectwo w wielkim kompleksie lasu, odległym od bażantarni około pół mili, zajmującym 300 morgów przestrzeni, w którym znajdował się piękny stan sarn i cietrzewi, ale też niestety i lisów. Założono też w najnowszym czasie w wielkich lasach Lubochni i Radzic wspaniały zwierzyniec. Rozrzucono po polach chaty wieśniacze i mnogie lisy utrudniały ochronę zwierzyny. Gorliwem wytępianiem czworonożnych i skrzydlatych szkodników, staranną hodowlą i przestrzeganiem pory ochrony doprowadzono do takiego stanu rzeczy, że małe polowania na wydeptanego i kociołkowe na zająca odbywać się mogą. Memu synowi, który nie tylko łowami trzech cesarzów, jakoteż dworskiemi w Skierniewicach kierował, dostał się zaszczyt wysoki, majestatom stanowiska wskazywać. O łowach trzech cesarzów i dworskich zdał mi listownie sprawę. 14. Września przybył cesarz rosyjski wieczorem do Skierniewic. W Poniedziałek 15. Września polowali od godziny 9. do 11. rano Wielki Książę Włodzimirz z ministrem domu cesarskiego hr. Woroncewem-Daszkowem na zrębie w zwierzyńcu. W. książę zabił 26 kuropatw, minister 13 kuropatw. 1 bażanta i 3 zające. Wracając ubił W. Książę jelenia ósmaka. 16. Września odbyły się łowy trzech cesarzów w Skierniewicach, w których wzięli udział: cesarze Austryi, Niemiec i Rosyi, W. Książęta Włodzimierz i Mikołaj, minister hr. Woroncow-Daszkow, książę Bariatyński i inni dostojnicy. Polowanie trwało przez dwie godziny, wzięto dwa mioty, na rozkładzie było: 7 jeleni, 22 danieli, 2 zające. 17. Września urządzono w polu przy bażantarni polowanie kociołkowe i z nagonką. W pierwszem padło: 46 zajęcy, 2 lisy i 7 kuropatw, potem śniadanie w zwierzyńcu nad stawem; na drugiem w Korabce: 34 zajęcy, 25 bażantów i 50 kuropatw. Cesarz rosyjski ubił w tym dniu: 20 zajęcy, 2 bażanty i 25 kuropatw. 18. Września polowano z nagonką w Borowskim lesie, ubito: 3 rogacze, 10 kóz, 5 bażantów, 1 cietrzewia i 8 kuropatw; 19. Września polowano w wielkich lasach Lubochni i Radzic i rozłożono 1 rogacza i 13 dzików; 20. Września zabito: 2 dziki; 21. Września: 2 jelenie, 4 kozły, 2 dziki i 1 zająca; 22. Września: 2 jelenie, 1 kozła, 13 dzików i 1 lisa; 23. Września: 5 jeleni; 24. Września: 2 kozły i 1 dzika; 25. Września: 4 jelenie i 2 kozły. Prócz tego zabił cesarz na buszowanego jelenia czternastaka. Cały rozkład wynosił zatem: w leśnictwie Skierniewickiem w 4 dniach 337 sztuk, w leśnictwie Libochni i Radzic w 7 dniach sztuk 57. Razem sztuk 394.

Karol Nemethy, rządzca dóbr. *(Weidmannsheil).*

Składając szczerą podziękę wszystkim łaskawym współpracownikom i korespondentom, upraszamy ich, jakoteż innych myśliwych, o dalszą pomoc dla „Łowca", bez której Pismo to pomyślnie rozwijać się i skutecznie działać nie może. Obok szerszych rozmiarów prac pożądane są dla nas drobne zapiski, sprawozdania z polowań, i t. p., które nie wymagając wiele trudu zapełnią z nie małą korzyścią dla czytelników szpalty Pisma naszego.

Upraszamy wszystkie krajowe Towarzystwa myśliwskie, a szczególnie Towarzystwo rybackie w Krakowie o wczesne podanie zmian, dotyczących ich organizacyi i zakresu działania, dla Kalendarza myśliwskiego i rybackiego na rok następny.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr 18.

Z Związkowa Drukarnia we Lwowie.